

GRUPA

1984
LISTOPAD

NR
ROK III

1



PO RAZ PIERWSZY NA ŁAMACH „GRYFA”

BS BOGUMIŁA STOSUJ

Urodziła się w Słupsku w 1955 roku. Ukończyła polonistykę na WSP w Słupsku i studium podyplomowe na Uniwersytecie Gdańskim. Ma w planach pracę doktorską z twórczości Leopolda Buczkowskiego.

Nie jest związana z żadną grupą poetycką.

W roku bieżącym ukaże się jej debiutancki tomik pt. „Lato w Surrey”, o którym, recenzując go, Krzysztof Gąsiorowski napisał m.in.: „jej wiersze bywają poruszające”.

W istocie te proste wiersze opowiadają dzieje niespełnionego uczucia. Ujawniają technikę „zatrzymanego gestu”. Ich dramatyzm osiąga się wy-ciszoną tonacją, przemilczeniem i lapidarnością. Są to wiersze powściągliwe w formie i obrazowaniu tak, że prawie zgrzebne. Tym samym jednak ujawniają pełną psychicznego napięcia treść.

GRYF

WOJEWÓDZKI
INFORMATOR
KULTURALNY

ŚLUPSK ■ LISTOPAD ■ 1984 r.

W NUMERZE:

ABY W ŚLUPSKU PRZETRWAŁA UCZELNIA POTRZEBNE SĄ KONKRETNE DZIAŁANIA — TWIERDZI **ANNA RACZYŃSKA** ● MORZE DECYDUJE O SILE PAŃSTWA — DOWODZI **ZBIGNIEW TALEWSKI** ● O TEATRZE „COMBATE” Z ARTUREM OLIVEIRĄ ROZMAWIA **BOGUSŁAW MATUSZKIEWICZ** ● ODPOWIEDZI NA LIST OCZEKUJE **RYSZARD JAŚNIEWICZ** ● PRZY WARSZTACIE NIE MUSI BYĆ SZARO I SMUTNO ZAUWAŻA **ANTONI KUSTUSZ** ● O PLENERACH PISZE **CZESŁAW GOMULKIEWICZ** ● REFLEKSJE O WSPÓŁCZESNEJ LITERATURZE SNUJE **STEFAN MILER** ● DOM KULTURY W CZARNEM PREZENTUJE **JOLANTA NITKOWSKA** ● NAD ISTOTĄ PRZEKAZU TELEWIZYJNEGO ZASTANAWIA SIĘ **ANNA RACZYŃSKA** ● F. GIERESZA W ROLI KRONIKARZA PRZEDSTAWIA **ZBIGNIEW BABIARZ-ZYCH** ● PIERWSZE LATA W POMORZANCIE WSPOMINA **KAZIMIERZ KWIECIEŃ** ● „KSIĘGĘ HIOBA” POLECA **STANISŁAW MISAKOWSKI** ● O TWÓRCZOŚCI M. WAŃKOWICZA ROZMYŚLA **BOGDAN TOMSKI** ● DO NABYCIA KATALOGU SZELĄGÓW ZACHĘCA **WIKTOR ZYBAJŁO** ● NIEZWYKŁE LOSY ZŁOTEGO ŁAŃCUSZKA OPOWIADA **ANATOL ULMAN** ● PONADTO: KRONIKA, REPORTUARY I DUET KRZYŻÓWKOWY.

temickie mocno niepokoiło
niej tylko w sferze plotek
wówczas realnego wymia-
zło bez pierwszego roczni-

izacji ?

rozwoju pod fachową opieką, jest
działaniem wyłącznie doraźnym,

W tej sytuacji można było mieć zatem
na utrzymanie szkoły wyższej w
nie zaś jej rozwój.
Jednak inny resort minister-
wydał decyzję o stosowaniu tzw.
progresywnego, którego wysokość
zmniejszyła motywację podejm-
odatkowej pracy. Zwłaszcza że w
tu zajęć dydaktycznych na innej
wiązało się to z uszczupleniem cza-
dami etc.

W rezultacie nie trzeba było długo cze-
li rektorów musiało przyjąć re-
dopiero co pozyskanych nau-
a wraz z nią świadomość wzro-
żenia dla istnienia kierunku. (Tak
się na fizyce w Ślupsku). Ko-
ęc raz brak koordynacji w mi-
nych decyzjach i bezwzględny biu-
ny rygoryzm może mieć fatalne
pozostawia przecież małe, słabe
obie samym.

W uczelnia, wbrew pozorom, nig-
niała przed sobą zbyt dobrych
w. Powołano ją, bo taka była
władz centralnych, ambicja lo-
spore braki nauczycieli z wyż-
kształceniem, które rzeczywiście
dziś ich li tylko osobista aspir-
obiektywna koniecznością. Wi-
o jednak, że ani baza lokalowa
aturowa, ani zasoby biblioteczne
y stanowić podstaw tworzenia
aukowo-dydaktycznego. Nie two-

PO RAZ PIERWSZY

BS **BOGUMIŁA S**

Urodziła się w Słupsku w
w Słupsku i studium podypł
w planach pracę doktorską z t

Nie jest związana z żadną

W roku bieżącym ukaże s
rey", o którym, recenzując go
wiersze bywają poruszające".

W istocie te proste wiersze
Ujawniają technikę „zatrzyma
ciszoną tonacją, przemilczeniem
liwe w formie i obrazowaniu ta
ujawniają pełną psychicznego

WYDAJE: Stowarzyszenie Społeczno-Kul-
turalne „Pobrzeże" w Słupsku.

ADRES REDAKCJI: 76-200 Słupsk, ul.
Zamenhofska 1, tel. 83-13, 38-05.

KOLEGIUM REDAKCYJNE: Czesław Go-
mułkiewicz, Ryszard Hetnarowicz, Urszula
Mączka, Andrzej Szulc, Andrzej Turczyń-
ski.

REDAGUJĄ: Waldemar Pakulski — re-
daktor naczelny (tel. 66-08) i Elżbieta Po-
turaj — sekretarz i oprac. techniczne (tel.
43-81). Zdjęcia barwne i cz.-b. — Jan
Maziejuk. Korekta — Aleksander Lewoń.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie
zwraca, zastrzega sobie również prawo ich
skracać. Opinie przedstawiane w „Poczcie”
nie zawsze są zgodne z poglądami redakcji.

Na okładce:

- Zabytkowy kompleks zamkowy
w Słupsku
- Jesień

WARUNKI PRENUMERATY: kwartalna — 45 zł,
półroczna — 90 zł, roczna — 180 zł. RSW
„Prasa-Książka-Ruch”, 76-200 Słupsk, Al. Sien-
kiewicza 7. Konto — NBP 77002-794 Słupsk,
nr indeksu 5966. Wpłaty od jednostek gospo-
darki uspołecznionej, instytucji, organizacji
przyjmują miejscowe oddziały RSW i ekspo-
zytury lub urzędy pocztowe w miejscowościach,
w których nie ma placówek RSW. Na-
bywcy indywidualni opłacają prenumeratę w
urzędach pocztowych na podane konto i nu-
mer indeksu oraz adres.

DRUK: Poligraficzna Spółdzielnia Pracy w
Słupsku. Nakład 1000 egz. format B-5. Zam.
nr 3091. Druk barwnej okładki: Prasowe Za-
kłady Graficzne w Koszalinie. P-8.

Cena 15 zł

Przed rokiem słupskie środowisko akademickie mocno niepokoiło się losem swoim i uczelni. Istniejące wcześniej tylko w sferze plotek informacje o jej likwidacji nabrały bowiem wówczas realnego wymiaru. Rok akademicki 1984/85 WSP rozpoczęło bez pierwszego rocznika aż na czterech kierunkach.

Szansa stabilizacji ?

ANNA RACZYŃSKA

Bezpośrednią przyczyną ograniczonego naboru była decyzja Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, której intencje można określić najogólniej jako dążność do ujednolicenia poziomu wszystkich szkół wyższych. Wyższe szkoły pedagogiczne winny być pełnymi ośrodkami akademickimi — twierdził minister resortu, ich rola dydaktyczna i naukowa równorzędna do roli uniwersytetów. Jako że ów poziom nie jest jednak sprawą wymierną, postanowiono ustalić jedno wspólne dla wszystkich kryterium. Stała się nim liczba samodzielnych pracowników naukowych — sześciu na każdym kierunku. Na WSP brakowało ich wówczas aż 40, a w niektórych zakładach pracowali wyłącznie asystenci, adiunkci i wykładowcy, więc konsekwentnie egzekwowane zarządzenie oznaczało niemal likwidację uczelni. Ponieważ jednakowej decyzji towarzyszył oficjalnie już głoszony kryzys kadrowy w oświacie i próby jego łatania zatrudnianiem nauczycieli bez kwalifikacji, Ministerstwo NSzWiT poszło na pewne ustępstwa, formułując przepis zezwalający samodzielnym pracownikom naukowym na podjęcie drugiego etatu w uczelniach typu WSP.

Przepis ten zdawał się rozwiązywać kłopoty, zwłaszcza, że chętni szybko się znaleźli, napawał optymizmem, stwarzał młodemu i małemu szkolom jakieś perspektywy, ale tylko pozornie. W gruncie rzeczy wiadomo było bowiem, że drugi etat oznacza wyłącznie podjęcie zajęć dydaktycznych nie zaś prac naukowych, nie stworzy więc młodej kadrze szansy szyb-

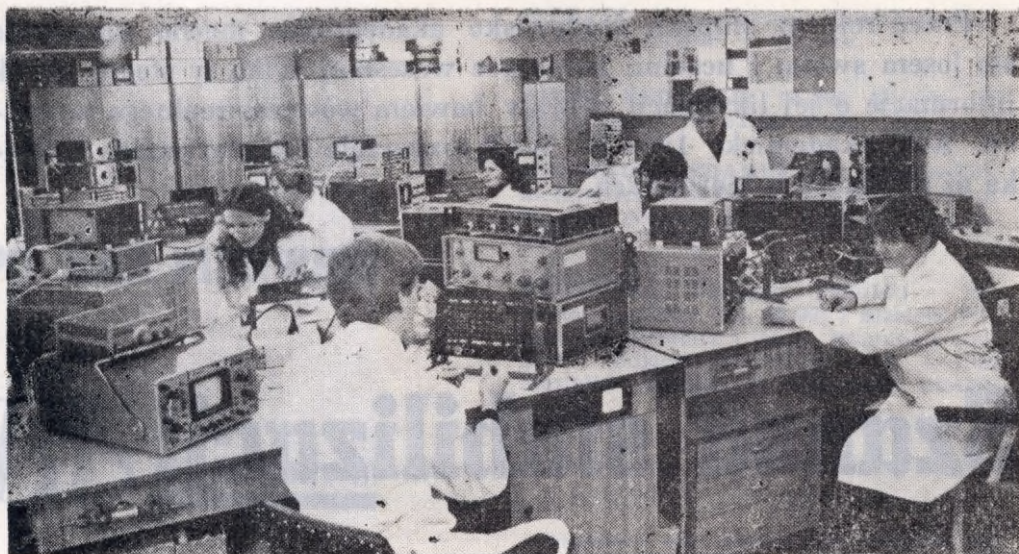
kiego rozwoju pod fachową opieką, jest przy tym działaniem wyłącznie doraźnym.

W tej sytuacji można było mieć zatem nadzieję na utrzymanie szkoły wyższej w Słupsku, nie zaś jej rozwój.

Tymczasem jednak inny resort ministerialny wydał decyzję o stosowaniu tzw. podatku progresywnego, którego wysokość wyraźnie zmniejszyła motywację podejmowania dodatkowej pracy. Zwłaszcza że w przypadku zajęć dydaktycznych na innej uczelni wiązało się to z uszczupleniem czasu, dojazdami etc.

Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Wielu rektorów musiało przyjąć rezygnację dopiero co pozyskanych naukowców, a wraz z nią świadomość wzrostu zagrożenia dla istnienia kierunku. (Tak np. stało się na fizyce w Słupsku). Kolejny więc raz brak koordynacji w ministerialnych decyzjach i bezwzględny biurokratyczny rygoryzm może mieć fatalne skutki. Pozostawia przecież małe, słabe ośrodki sobie samym.

Słupska uczelnia, wbrew pozorom, nigdy nie miała przed sobą zbyt dobrych perspektyw. Powołano ją, bo taka była polityka władz centralnych, ambicja lokalnych i spore braki nauczycieli z wyższym wykształceniem, które rzeczywiście nie jest dziś ich li tylko osobista aspiracja, lecz obiektywna konieczność. Wiadomo było jednak, że ani baza lokalowa czy aparaturowa, ani zasoby biblioteczne nie mogły stanowić podstaw tworzenia ośrodka naukowo-dydaktycznego. Nie two-



rzyła ich również kadra, którą w większości zasiliли nauczyciele ślupskich szkół średnich, a pozyskanie nowej, z dużych uczelni, miało charakter akcji werbunkowej i to dość krótkotrwałej. Wszak służące jako argument mieszkania władze lokalne w większej liczbie oferowały tylko w początkowej fazie rozwoju WSP.

Jeśli spojrzymy przy tym na sytuację małych ośrodków z perspektywy rozwoju uczelni w ogóle, jeśli przypomnimy, że sporządzane w tej sprawie raporty sygnalizują oddalanie się nauki polskiej od poziomu światowego, spadek nakładów inwestycyjnych na nią, dostęp do zaledwie jednej piątej liczby wychodzących na świecie czasopism naukowych, balansowanie małych uczelni niemal na krawędzi staje się dość oczywiste.

Skoro je jednak wcześniej powołano, a za utrzymaniem przemawiają zarówno społeczne (brak nauczycieli), jak i kulturowe (w naszym regionie na przykład jest to jedyna uczelnia humanistyczna) względy, nie można ograniczyć się tylko do nazwania rzeczy po imieniu i wyznania swej bezradności.

Z pewnością szansą na ocalenie i rozwój w obecnej sytuacji stałoby się dla naszej szkoły przyłączenie do Uniwersytetu Gdańskiego, ustanowienie jej jego filii. Zyskałby na tym i proces dydaktyczny i naukowo-badawczy. Zyskałaby i młodzież akademicka i kadra, przed którą stanęłaby możliwość włączenia się w prace badawcze, nawiązania kontaktów zagranicznych itp. Zniknęłoby także wieczne nękające tutejszą kadrę naukową poczucie zagrożenia. Trudno jednak przy-

puszczać, że Uniwersytet Gdański, znający poziom ślupskiego zaplecza aparaturowego, kadrowe i lokalowe kłopoty będzie tym zainteresowany.

Pozostaje więc zastosowanie koniecznych, choć — zdaje się, jak zwykle w naszej sytuacji — trudnych do spełnienia posunięć:

- zwiększenie liczby etatów, a tym samym odciążenie dydaktyczne,
- obowiązek odbywania krajowych staży doktorskich i habilitacyjnych,
- lokalowe i aparaturowe inwestycje,
- pozyskanie mieszkań,
- próba poszukiwania nie tylko samodzielnych, ale i wybitnych absolwentów ośrodków uniwersyteckich (kadra WSP w porównaniu z innymi ośrodkami rzadko się „odświeża”),
- rzetelna, autentyczna ocena poczyną i kompetencji naukowych zatrudnionych pracowników.

Trwanie w oczekiwaniu na jakieś rozwiązanie jest bowiem bardzo niebezpieczne. Wymogi ministerialne nadal przecież istnieją, a jeśli ściśle egzekwowany będzie przepis obejmujący rotację także adiunktów, najliczniejszą obecnie na WSP liczbę pracowników, za dwa, trzy lata problem WSP może się sam rozwiązać. Ale tym razem już definitywnie.

SPROSTOWANIE

Do niniejszego artykułu wkraśl się błąd. Ostatnie zdanie w pierwszym akapicie powinno brzmieć: „Rok akademicki 1983/84 WSP rozpoczęło bez pierwszego rocznika aż na czterech kierunkach”. W roku bieżącym przyjęcia na WSP odbywały się już na wszystkich kierunkach.

Przepraszamy

W dziejach Polski niezwykle ważną była i jest historia polskiego morza i Ziemi Pomorskiej. Ten region kraju, to przysłowiowe i rzeczywiste okno na świat na przestrzeni wieków, a zwłaszcza w ostatnim okresie, współdecydowało o sile ekonomicznej naszego kraju.

Polska morska

ZBIGNIEW TALEWSKI

Nie sposób wspomnieć o wszystkich monarchach, politykach, naukowcach, literatach czy też partiach, stronnictwach, organizacjach społecznych i kulturalnych, które w swoich programach i działalności wybiły na czoło hasło „Polski Pomorskiej”. Pierwszorzędnego znaczenia problem ten nabiera u progu odrodzenia się II Rzeczypospolitej oraz w całym dwudziestolecu międzywojennym.

Profesor Marian Orzechowski w artykule pt. „Problem dostępu do Bałtyku w polskiej myśli politycznej w latach 1920–1939”, który opublikował w zeszycie Gdańskiego Towarzystwa Naukowego nr 7 z 1971 r. stwierdza, że „w wolnym dostępie do morza, w pełnym władaniu nad ujściem Wisły dostrzegali (po rozbiorach) reprezentanci różnych, często kontrowersyjnych nurtów myśli politycznej jeden z podstawowych składników niepodległościowych”.

Za przywróceniem przyszłej Polsce granic opartych o Bałtyk opowiadał się m.in. Hugo Kolałaj czy też Joachim Lelewel, który tworzy historiofizyczną wizję polski piastowskiej. Cele takie wskazywały również programy powstania listopadowego czy Wielkiej Emigracji. Nasi wielcy A. Mickiewicz i J. Słowacki w swych utworach wskazywali swym następcom, a zwłaszcza pozytywistom, temat polskiego morza. M. Konopnicka Bałtyk ujęła w pięknej metaforze: „polska dusza nie umarła, ale śpi”.

Stefan Żeromski u progu polskiego neoromantyzmu idąc w swych utworach po śladach Lechitów propaguje społeczną potrzebę umiłowania morza, czy też kultu polskiej tradycji morskich i żeglarskich. Piszze swoją wielką morską powieść „Wiatr od morza”, w której Bałtyk staje się społecznym, moralnym i ekonomicznym źródłem siły, przeobrażenia

ojczyzny, przyczyną potęgi i swobody narodu. Nie bez przyczyny Żeromski germanizacji żądy przeciwstawia potrzebę obrony wolności narodu i utożsamia ją z indywidualnym prawem do życia każdego człowieka. Ideę tę wiąże on z losami przyszłej Polski, z jej powrotem na ziemie zachodnie i nadbałtyckie. Żeromski przekonuje o znaczeniu posiadania tych ziem, a przez to wskazuje i zabiega o odwrócenie polskiej polityki wschodniej, która stała się przyczyną zaniedbania „Zachodu i morza”.

Pisząc o trendach morskich w literaturze polskiej tamtego czasu nie można nie wspomnieć o „ruchu młodokaszubskim”, który osiągnął największe znaczenie, gdy jego przedstawiciele związali się z kaszubskim czasopiśmie „Gryf”. To właśnie za pośrednictwem piszących w „Gryfie” autorów książek, artykułów m.in. B. Chrzanowskiego „Na kaszubskim brzegu”, H. Derdowskiego „O panu Czarlińskim co po sieci do Pucka jechał”, A. Majkowskiego „Życie i przygody Remusa” i innych twórców i działaczy społecznych, neoromantycy zapoznawali się z poezją kaszubską i jej patriotycznym historyzmem. Zapoznawali się z poezją ludową, która ukazując piękno przyrody ukazywała na jej tle walkę Kaszubów o wolność i godność tak poniżaną przez kolonistów niemieckich. Duch oporu ludności kaszubskiej przeciwko germanizacji, który także inspirował twórców ludowych, był potwierdzeniem polskich dążeń „ku morzu” i praw do Bałtyku. Czerpiąc z tej regionalnej — kaszubskiej skarbnicy, polscy literaci przenosili te motywy na stronic swych książek. Należy tu chociażby wymienić Henryka Sienkiewicza i jego książkę „Na polu chwale”, czy ponownie Stefana Żeromskiego i epizod kaszubsko-bałtycki w „Urodnie życia”.

W 1920 ROKU

...odrodzona Polska otrzymuje tylko część Pomorza. To, co otrzymaliśmy stworzyło minimalne warunki, by nazwać się państwem morskim, był to połowiczny powrót Polski nad Bałtyk. Fakt pozostawienia Gdańska poza Polską już wtedy zrodził w niektórych kręgach polityczno-społecznych potrzebę działania na rzecz przyłączenia tego obszaru wraz z Elblągiem i Królewcem do Polski. Idee te nie przybrały nigdy w oficjalnej polityce Polski przedwrześniowej formy programu politycznego. Polityka sanacji, zwłaszcza po przewrocie majowym w 1926 roku, wiązała siłę i znaczenie Polski ze wschodnią ekspansją ekonomiczną i militarną.

Odminną myśl polityczną reprezentowała Narodowa Demokracja, która w żywiole niemieckim widziała największe zagrożenie dla Polski, a ziemię północne i zachodnie uznawała za obszar decydujący o przyszłości ojczyzny. Stąd hasło „współzawodnictwa z Niemcami” o wpływy w dążeniu do przyłączenia tych ziem do Polski.

Nie milkły spory w łonie polskich ugrupowań politycznych, a czas szybko upływał. Nieuchronnie nadchodził ze swoimi konsekwencjami 1939 rok, ale nie sposób nie dostrzec i nie podkreślić wysiłków, jakie uczyniła gospodarka polska, by zagospodarować skrawek odzyskanego Wybrzeża, wykorzystać go na rzecz rozwoju odrodzonej Polski. Miara tamtego wysiłku jest...

GDYŃIA

10 lutego 1920 roku był dniem zaślubin odrodzonej Polski z morzem. Ceremonia ta była niejako uroczystością wmurowania kamienia węgielnego pod gmach przyszłej Polski morskiej.

W tym samym roku T. Wenda przystąpił do opracowywania planu budowy portu w Gdyni.

Na decyzję o podjęciu przez młode państwo polskie tej wielkiej inwestycji miały przede wszystkim wpływ złe stosunki gospodarczo-celne z Gdańskiem, a zwłaszcza na decyzji tej zaważyły utrudnienia, jakie zostały wprowadzone przez władze niemieckie w zakresie korzystania z gdańskiego portu. Budowa Gdyni przyczyniła się do wyraźnego spadku znaczenia Gdańska, co wyraźnie niepokoiło władze tego miasta, niejako pogłębiając rosnący konflikt.

W 1929 roku port gdański przeładował już 2,8 mln ton towarów, w 1930 roku 3,6 mln ton. Port gdański w tym czasie zanotował w 1928 roku — 8,6 mln ton, by w roku 1930 osiągnąć niższy obrót,

bo 8,2 mln ton. Stąd też senat gdański występując przeciwko budowie portu gdyńskiego wskazuje, że może na terenie swego portu pomieścić wszystkie instalowane w Gdyni urządzenia portowe. Władze gdańskie uważały, że to miasto powinno mieć wyłączny monopol na cały obrót towarowy polskiego handlu zamorskiego i że port gdański stanowić winien jedyny dostęp Polski do morza.

Decyzje o budowie portu gdyńskiego podjął sejm polski 23 września 1922 roku. Przy realizacji tej wielkiej inwestycji pracowało wielu znanych i nieznanymi z nazwiska bohaterów, których nie sposób tu wymienić, dlatego przedstawię tylko jednego z nich, który działalność, myśli i twórcze siły poświęcił polskiemu morzu, zarówno w okresie międzywojennym jak i w okresie budowy ludowej Polski Bohaterem tym jest

EUGENIUSZ KWIATKOWSKI

Zanim E. Kwiatkowski objął w 1926 roku stanowisko ministra przemysłu i handlu, w którym to ministerstwie mścił się departament morski i zanim ujął swą orientację morską, pełnił szereg odpowiedzialnych stanowisk w przemyśle chemicznym. Był absolwentem wydziału chemii Politechniki we Lwowie i takiego samego wydziału w Monachium. W latach 1926—1929 minister E. Kwiatkowski wykorzystuje ożywienie gospodarcze do dalszej rozbudowy portu i miasta Gdyni. Wykształcenie techniczne nie przeszkadza mu być także humanistą.

E. Kwiatkowski jako nie związany z żadną grupą polityczną czyni niedwuznaczne zarzuty Józefowi Piłsudskiemu, że ten „odwraca się od Zachodu i wybrzeża morskiego, ucieka od drogi wielkiego oporu, ale i wielkich korzyści, ucieka od naturalnego postannictwa, ale i obowiązku, oddala się od swej siły, kierując się coraz bardziej (...) na Wschód. do źródeł swojej słabości...”. Kwiatkowski po jednym z buńczucznych wystąpień Hitlera powie: „Nasz Lebensraum to morze”!

Występując w Sejmie w latach 1926/27 zabiega o dalszą rozbudowę Gdyni. Wrazem tego są również liczne artykuły, które ogłasza np. w „Kronikach o polskim morzu”. W 1930 roku zamieszcza w nich rozprawy „Trzymajmy się morza”. Publikuje również w „Pamiętnikach Instytutu Morskiego” oraz w „Dysproporcjach”. w ekonomicznej „biblii” tamtego czasu. Zamieszcza także szereg cennych artykułów w „Wiadomościach Portu Gdyńskiego”.

Swego zainteresowania i działania na rzecz „Polski morskiej” nie zarzuca w latach późniejszych, zarówno jako poseł na

Sejm w latach 1928—30 i 1938—39 i wicepremier i minister skarbu w latach 1936—39. Przez ten cały okres E. Kwiatkowski działał, by stworzyć polską marynarkę handlową, by zmodernizować całą sieć komunikacji na zapleczu portu gdynińskiego. To on powołuje przedsiębiorstwo „Żegluga Polska”. Jego duży osobisty wkład pracy, upór i walka z przeciwnościami, jakie niósł za sobą światowy kryzys i słabość ekonomiczna kraju — przyczyniły się do tego, że Gdynia w 1939 roku osiągnęła 9 mln ton przeladunków, bijąc w ostrej konkurencji wiele portów Europy.

W opublikowanym w „Wiadomościach Portu Gdynińskiego” artykule „Dziesięć historycznych prawd Polski” E. Kwiatkowski stwierdza: (...) Gdynia wreszcie jest symbolem naszej woli politycznej i dokumentem wiary, że ziemia pomorska jest dziś tak samo nasza, jak była nią przed wiekami. Ten skoncentrowany rezultat pracy polskiej, utrwalający nasze dobre i słuszne prawa do Pomorza, nie utrudnił nam skomplikowanych stosunków politycznych, ale przeciwnie ułatwił je nam jak bodaj żaden inny fakt...”

Po wojnie Eugeniusz Kwiatkowski na prośbę przedstawicieli PKWN-u, którzy przybyli do Rumunii — jego miejsca internowania — powraca do kraju, gdzie Bolesław Bierut mianuje go Delegatem Rządu do Spraw Wybrzeża.

Przystępując ponownie w 1945 roku do odpowiedzialnej pracy na rzecz polskiego morza E. Kwiatkowski w opublikowanej w tymże roku pracy nt. „Budujemy nową Polskę nad Bałtykiem” wyklada swe „morskie credo”. W pracy tej m.in. popiera on idee Związku Gospodarczego Miast Morskich, wskazuje na równomierną rozbudowę bramy Polski. Proponuje budowę kanału ślawnego, który miałby przebiegać ze Śląska przez środek Polski ku północy.

E. Kwiatkowski w wyniku sporów „kompetencyjnych” w wieku 60 lat przechodzi na emeryturę. Spory te dotyczyły kierunków prac, poprzez które Kwiatkowski „zmierzał do przeinwestowania” gospodarki morskiej, m.in. poprzez zabieranie o utworzenie związku miast morskich i opracowania w oparciu o ten związek planu przestrzennego zagospodarowania całego Pomorza. W 85 roku życia E. Kwiatkowski zostaje mianowany doktorem honoris causa nauk ekonomicznych Uniwersytetu Gdańskiego.

Umiera w Krakowie w 1974 roku

MORSKA MYŚL POLITYCZNA W PROGRAMACH PPR i PKWN

Zarówno program PPR, jak i Manifest PKWN z 1944 roku głosiły, że na zachodzie i nad Bałtykiem musimy odzyskać

ziemię etnograficznie polskie, zagrabioną przez Niemców, a do których Polska ma historyczne prawo. Postulat szerokiej i sprawiedliwych granic domagał się „polskiego Pomorza i Śląska Opolskiego, Prus Wschodnich, szerokiego dostępu do morza, polskich słupów granicznych na Odrze”.

Władysław Gomułka po powrocie z Konferencji Poczdamskiej, 3 sierpnia 1945 roku w „Głosie Ludu” publikuje artykuł nt. „Zwycięstwo Polski w Poczdamie”, w którym stwierdza, że powrót na przestarzałe ziemie niastowskie określi przyszły potencjał i pozycję naszego kraju w Europie. że to zwycięstwo postawiło przed naszym narodem hasło: „wszyscy twarzą do Bałtyku! Najlepsi ludzie i najmocniejsze ramiona na ziemi nad Odrę i Nysę, na ziemi nad Bałtykiem”.

Nie sposób nie wspomnieć o roli PPR-u, a zwłaszcza jej sekretarza generalnego Władysława Gomułki w zagospodarowaniu ziem zachodnich i północnych. Z inspiracji PPR — 13 listopada 1945 roku Rząd Jedności Narodowej przyjmuje dekret o utworzeniu Ministerstwa Ziem Odzyskanych — ministrem W. Gomułka na czele. Na tym odpowiedzialnym stanowisku Gomułka poświęca wiele serca, energii i czasu, po to, by ten nasz narodowy, ponowny powrót nad Bałtyk stworzył nowe korzystne warunki rozwoju gospodarki morskiej, a zwłaszcza, by tym razem, ten powrót przekształcił dawny romantyzm morski w twórczą energię na rzecz aktywnej odbudowy i rozbudowy tej gałęzi gospodarki narodowej. W 1947 roku Wł. Gomułka wchodzi w skład rządu J. Cyrankiewicza jako wicepremier i minister Ziem Odzyskanych.

Rok 1947 był pierwszym rokiem 3-letniego planu gospodarczego, w myśl założeń którego stocznie polskie przystąpiły do budowy pierwszych rudowęglowców, jest to więc okres powstawania przemysłu stoczniowego, którego przed II wojną światową nie posiadaliśmy wcale. Przemysł ten staje się podstawą rozwoju naszej floty handlowej i eksportu statków. Rozwijać zaczęło się również rybactwo morskie. Słowem — odrodzone ludowe państwo ukierunkowało swoją politykę ekonomiczną i handlową na wzmoczenie rozwoju szeroko pojętej gospodarki morskiej, dokumentując tym samym, że nasz powrót nad Bałtyk, nad Odrę, likwidacja niemieckich Prus Wschodnich i Wolnego Miasta Gdańska wraz z przesiedleniem ludności niemieckiej, zapewniło ludowemu państwu polskiemu jedność polityczną, narodową i gospodarczą.



Teatr walczący

BOGUSŁAW MATUSZKIEWICZ

Sala Miejskiego Ośrodka Kultury w Słupsku wypełniona po brzegi młodzieżą i dziećmi publicznością. Stuk rozkładanych krzesełek. Ostatnie przepychanki, aby znaleźć się jak najbliżej sceny. Nośny, wibrujący gwar. Z półmroku wylania się oświetlona scena z rekwizytami. Pojawiają się aktorzy, nieco tylko starsi od publiczności. Ubrani „nieteatralnie” — w długie spodnie i podkoszulki z krótkim rękawem.

„SPEKTAKL” ROZPOCZYNA SIĘ PRZED SPEKTAKLEM

Najpierw rozbawienie publiczności: wspólne śpiewanie piosenek polskich i portugalskich, a także „Panie Janie” w kilku językach. Jeszcze jakieś „kukuruku” z obydwu stron scenicznej rampy, jeszcze

miarowe klaskanie i po preludium następuje spektakl właściwy — godzina zabawy, muzyki, dźwięków i ruchu. Na scenie ustawiczny kalejdoskop mikro zdarzeń, w których uczestniczą: para młodych bohaterów, ich rówieśnicy i rodzice. Psoty, figle, zabawy, praca, małe nieporozumienia, słowem — pierwsze życiowe doświadczenia. Obrazy, obrazy, jakby rozproszone w pamięci wspomnienia z dzieciństwa, niewiążące się raczej w żadną określoną fabułę. Niektóre sceny nie znaczą nic ponadto, co przedstawiają — ot, malowanie płotu. Inne zorientowane są ludyczne. Huragany śmiechu wywołują kilkakrotnie, nieudane próby uruchomienia motocykla przez jednego z bohaterów. Gaśnie i gaśnie. Dźwięk naśladowany jest przez perkusję. Śmieje się widownia, śmieją się postacie ze świata przedstawionego. Są

też sceny zawierające wyraźnie przesłanie. Zabawa chłopców w wojnę kończy się płaczem dziewczyny.

Mimo asocjacyjnego i afabularnego toku narracji a także bariery językowej, dzieci bawią się świetnie, zwłaszcza te najmłodsze. Ale też kilku starszych chłopców opuszcza salę w połowie spektaklu wyraźnie zdenerwowanych tym, że „nie wiadomo o co tutaj chodzi”. Kończy się widowisko, jednak spektakl trwa dalej. Co najmniej przez pół godziny „odchodzą” jeszcze wspólne śpiewania. Dzieciarnia oblega aktorów na scenie prosząc o autografy, drobne rekwizyty...

Dopiero po pewnym czasie udaje mi się uchwycić i namówić na rozmowę kierownika a zarazem założyciela teatru „Combate” Artura Oliveiry oraz reżysera ogladanego spektaklu „Puszk i lalki” Julio Silverę. Ta portugalska amatorska grupa teatralna, z podlizbońskiej miejscowości Cartaxo, gościła w województwie śluskim po raz trzeci. Od 16 września do 1 października zaprezentowała sześć spektakli: w Ślusk, Uście, Człuchowie, Studzienicach, a także w Gdańsku i Elblągu. Uczestniczyła również w warsztatach teatralnych w Uście wspólnie ze śluskim „Rondem” i koszalińskim „Blikiem”.

POLITYCZNY RODOWÓD

Słowo „combate” znaczy w języku portugalskim „walka”. Z czym i o co teatr „Combate” walczy?

Abym odpowiedzieć na to pytanie — mówi Artur Oliveira — trzeba przypomnieć datę 25 kwietnia 1974 roku. W tym dniu nastąpił w Portugalii bezkrwawy przewrót wojskowy obalający dyktaturę Salazara. Wojsko doprowadziło do wyboru cywilnych i bardziej demokratycznych rządów. To wydarzenie, stanowiące zwrot w najnowszej historii naszego państwa, nazywamy Rewolucją Czerwonych Goździków. Żołnierze odmówili posłuszeństwa dyktatorowi, a na znak protestu włożyli w lufy karabinów czerwone goździki. Od 25 kwietnia 1974 roku w Portugalii życie zaczęło się toczyć nowym torem, uwolnione od terroru politycznego, faszystów i kolonialnych zapędów. Zjawiska te nie zostały jeszcze jednak całkowicie wykorzystane.

Po rewolucji — kontynuuje Artur Oliveira — nastąpiła eksplozja amatorskiego ruchu teatralnego i nie tylko teatralnego. Słowo „eksplozja” jest tutaj chyba najbardziej adekwatne. Był i jest to ruch oddolny, naturalny pęd ku twórczości po czterdziestu latach pustki i tłumienia w społeczeństwie myślenia twórczego. Amatorskie grupy teatralne spotkać można w całym kraju — od małych wsi i miasteczek po duże aglomeracje. Próbuja one uświadomić ludziom, co przyniosła rewo-

lucja i co było przed nią. I na tej fali powstał teatr „Combate”. Założyłem go w roku 1976 wspólnie z Carlosem Oliveirą. Na kształt artystyczny woływały warsztaty teatralne, które odbyliśmy w Finlandii w 1977 roku. Skupiamy ludzi różnych profesji, ja np. jestem na co dzień dyrektorem banku państwowego. I nie ma problemu z naboorem nowych członków, bo jeśli coś robi się z miłością, to wszystko można zorganizować. Teatr finansowany jest wyłącznie z prywatnych fundacji, a działa pod patronatem Centrum Kultury w Santarem.

Wracając do pytania... Skoro naszym politycznym rodowodem jest Rewolucja Czerwonych Goździków, to jasne jest, że walczymy z wszelkimi pozostałościami faszystów, dyktatury, kolonializmu, z alfabetyzmem. Chodzi nam, jako ruchowi, a nie tylko teatrowi, o zbudowanie nowego społeczeństwa.

OTWARTOŚĆ I KONTAKTOWOŚĆ

Po obejrzeniu spektaklu „Puszk i lalki”, z pewnością odmiennego w formie od przedstawień serwowanych dzieciom i młodzieży przez nasze teatry, ale nie stanowiącego przecież jakiegos przełomu awangardowego, wypowiedź Artura Oliveiry wydała mi się jakby dorabianiem wielkiej polityki do w miarę ciekawego zjawiska artystycznego, jakim jest teatr „Combate”. Wątpliwości moje rozwiał reżyser Julio Silvera.

Jesteśmy teatrem dla dzieci i młodzieży — powiedział — a wybraliśmy najmłodsza publiczność dlatego, że ona potrzebuje więcej informacji niż odbiorcy dorośli. Aby budować nowe społeczeństwo, edukację etyczną i estetyczną trzeba rozpocząć od dzieci. Sami pamiętamv nasze lata dziecięce, gry, zabawy, jakie uwielbialismv i wykorzystujemy je w naszej pracy. Chodzi nam o maksymalną otwartość i kontakto-wość. Aby to osiągnąć, w czasie spektaklu obserwujemy, w jaki sposób reagują dzieci i do ich reakcji dostosowujemy nasze pomysły, zachowując wciąż główny temat. Jest to swoista improwizacja teatralna. Również na próbach grupa bawi się w pewien sposób i z tej zabawy wyłania się spektakl. Staramy się unikać słów, które zastępujemy innymi środkami artystycznego wyrazu — muzyką wykonwaną przez nas, naturalnymi dźwiękami, a przede wszystkim ruchem i ekspresją całego ciała.

Tak było również w spektaklu „Puszk i lalki”, który jest historią dwójki dzieci pochodzących z różnych klas społecznych. Spacerują one po wielu miastach, naw-tykają na różne sytuacje, zdobywają doświadczenia, które pozwalają im lepiej się rozumieć. To wszystko widzownia powinna odczytać sama. Nigdy nie dajemy goto-

wych formuł i recept, nie wyrażamy wprost określonych prawd moralnych. A największą satysfakcję i radość odczuwamy wtedy, kiedy dzieci wchodzi na scenę, dotykają nas i rekwidują oraz biorą udział we wspólnej zabawie.

I tak właśnie stało się w Słupsku.

CO DALEJ?

Kiedy piszę te słowa, teatru „Combat” nie ma już w Polsce. Kolejna wizyta, kolejne spektakle i warsztaty. Te ostatnie — w opinii Antoniego Franczaka, kierownika teatru „Rondo” — przyniosły o-bopólne korzyści. U nas nie ma tego typu teatrów dla dzieci, przeważają lalkowe, warto więc skorzystać z doświadczeń portugalskich. Może najważniejsze z nich, to umiejętność wciągnięcia publiczności do spontanicznej gry i zabawy. Z kolei w Portugalii brakuje dobrych teatrów i spektakli adresowanych do publiczności dorosłej. Teatr Narodowy w Lizbonie nie może że otrząsnąć się ze skostniałego schematyzmu narzuconego w okresie dyktatury.

W czasie wizyty ustalono szczegółowy program współpracy kulturalnej między Słupskiem a Santarem. Jeśli zostanie on zrealizowany, zobaczymy w Słupsku wystawę malarską prac Roberio Riserio oraz ekspozycję ceramiki wykonanej przez Mario Rosriguesa. Na wrzesień przyszłego roku zaplanowano w Santarem wspólny kurs pantomimy i ruchu. Portugalczycy obejrzą w galerii „Calus Gulbentian” w Lizbonie portrety Witkacego (w setną rocznicę urodzin tego wybitnego dramaturga, malarza i teoretyka sztuki). Pojadą tam nasi specjaliści od konserwacji zabytków. Portugalczycy chcą zobaczyć również wyroby kaszubskich twórców sztuki ludowej oraz efekty pierwszego marynistycznego pleneru „M — jak morze” w Uście.

Cieszyć się należy z tego, że współpraca zostanie rozszerzona poza wymianę grup teatralnych. Plany są... Czy będą zrealizowane? Przekonamy się o tym za kilka miesięcy.

Konkurs na recenzję

Słupski Teatr Dramatyczny i redakcja „Gryfa” ogłaszają stały konkurs na recenzję z przedstawienia teatralnego.

Uznajemy, że repertuar Słupskiego Teatru Dramatycznego w tym sezonie jest na tyle atrakcyjny, by mógł zaowocować recenzjami, omówieniami przedstawień, pisanymi właśnie z punktu widzenia widza, nie zaś zawodowego krytyka teatralnego. Zachęcamy zatem wszystkich Czytelników, szczególnie młodych, do współpracy. Co miesiąc poczynając od numeru grudniowego bardziej interesujące teksty będziemy publikowali na łamach Gryfa. Zamierzamy również, jeśli to nam się powiedzie, wspólnie z dyrekcją Teatru zorganizować w połowie sezonu spotkanie uczestników naszego konkursu z aktorami i pracownikami teatru.

A więc zapraszamy na łamy, czekamy na omówienia, refleksje, wypowiedzi na temat przedstawień naszego teatru. Najciekawsze prace będziemy honorować zgodnie z obowiązującymi stawkami.



List do widzów

Mój pierwszy sezon w Słupsku zakończył się dziewiętnastego lipca. Graliśmy „Ostry dyżur” Jerzego Lutoskiego. Zasłużone wakacje? Chyba tak. Zespół był trochę zmęczony, a powinien być bardzo zmęczony. Kilkanaście osób i siedem premier, w tym kilka wymagających ogromnego wysiłku, „Król Edyp” — bałem się trochę, ale wyszło, chór na premierze był znakomity, a właśnie w „Edypie” do chóru przeważnie krytycy mieli pretensje. Rozwiązanie działania scenicznego chóru, poruszenie go na scenie, uczynienie z chóru nie tylko komentatora, ale także partnera Edypa. Na dyskusji popremierowej (konsekwentnie organizuję dyskusje i będę organizował, bo uważam, że jest to znakomita możliwość poznania się widzów z twórcami, wyłożenia na gorąco swoich racji) chwalono reżysera, ale miało pretensje do odtwórcy głównej roli, że jest za gwałtowny, że za gorący. A ja uważam, że były to komplementy, bo tak chciałem zagrać, bo taki Edyp był, bo jego jedyną wadą była gwałtowność, która doprowadziła do zabójstwa ojca, która pomogła bogom przeprowadzić swoje plany.

Trzema? Oczywiście, ogromna na premierze, przeszkadzała trochę. Grać i reżyserować trudna sprawa, ale właśnie w ten sposób mogłem wypowiedzieć się do końca, mogłem zmierzyć się z losem.

A potem bajka „O dwóch takich, co ukradli księżkę” w reżyserii Bogusławy Czosnowskiej. Przebieg sezonu, szła na widowni, dzieci wbiegają na scenę, kwiaty, skandowane brawa, trudno utrzymać w

ryzach rozentuzjasmowanych widzów. Jacek i Placek, Ania Janiak i Irena Wójcik, stają się gwiazdami młodocianej widowni. Ogromna satysfakcja. Ale też ogromny wysiłek. W ciągu niecałych dwóch miesięcy uszyć tyle kostiumów, zbudować skomplikowane dekoracje, a przecież mamy małe, wręcz prymitywne pracownie. Zrobili to znakomici ludzie. Wszyscy pracownicy teatru przyczynili się do tego, że premiera bajki odbyła się w terminie i że... się w ogóle odbyła.

Cieszy również, że nasza akcja „drzwi otwarte” chwyciła. Na próbie „Ostrego dyżuru” była prawie pełna widownia. Ostatnia premiera sezonu, ważna pozycja w historii teatru, literatury. Przełomowe dzieło dające początek znakomitemu sztukom Mrożka, Różewicza, Iredyńskiego, Grochowiaka. „Ostry dyżur” traktuje o naszych trudnych polskich sprawach. Starsza widownia przeżywa to emocjonalnie, młodzi niewiele wiedzą. Zaskakujące, że młodzież tak mało wie o tamtych latach. Ta luka musi być wypełniona. „Ostry dyżur” jest próbą powiedzenia ludziom o naszej czterdziestoletniej ludowej historii.

W czerwcu organizujemy sympozjum dla młodzieży. Temat — czterdzieści lat teatru na naszych ziemiach — i znowu nikt nie wie, mogą mówić o Warszawie, Gdańsku, Krakowie, ale o Koszalinie czy Słupsku — niewiele. A przecież stąd wyszło wielu znakomitych aktorów, reżyserów, scenografów. Teatr w Koszalinie, Słupsku odgrywał znaczącą rolę na mapie teatralnej Polski. Zbliża się czterdziestolecie wyzwolenia naszych ziem, musimy o tym pomyśleć, musimy młodzieży przypom-

nieć tamtych wspaniałych ludzi, którzy w najtrudniejszych warunkach głosili polskość tych ziem.

Szósty lipca, przedstawienie „Konopielki” w hali fabrycznej w „KAPENIE”. Wyszliśmy z naszego budynku, zjawiliśmy się u robotników, przyjęli nas znakomicie. Tu inicjatywa musi być kontynuowana. Hala fabryczna — ludzie przyszli prosto od warsztatów, bawią się, uważają, że powinniśmy przyjeżdżać częściej. Może przekonają się do teatru, może przyjdą z rewizytą do nas. Wspaniała tu hala fabryczna, nie wiem dlaczego wpadł mi pomysł, że właśnie tutaj można by za-inscenizować „Wyzwolenie” Wyspiańskiego. Tak, tak, ale to dalsze plany, wyobraźnia pracuje za gwałtownie.

Niedługo wakacje. Na naszą propozycję wspólnego ułożenia repertuaru przychodzi zaskakująco dużo listów. Sto dwadzieścia cztery propozycje. W ogromnej przewadze Beckett, Ionesco, Genet, potem Mrożek, Szekspir, Calderon. Wszystkie sztuki, które zamierzamy zagrać w nowym sezonie znajdowały się w repertuarze widzów. Wakacje.

I już wrzesień. Od razu dwie premiery sceny propozycji aktorskich. „Ljubica — pierwsza osoba liczby mnogiej” Vučetića w reżyserii i wykonaniu Magdy Szkopówny-Bartoszek. I „Drugi pokój” i „Rekonstrukcja poety” Zbigniewa Herberta w reżyserii Jowity Piękiewicz. A teraz odbywają się próby „Pierwszego dnia wolności” Kruczkowskiego w reżyserii znakomitego polskiego reżysera Marka Okopińskiego. Czekamy na premierę z niecierpliwością 10 listopada o godzinie 18. Na małej scenie próby sztuki H. Pintera „Kolekcja” i „Kochanek”.



Konopielka w „Kapenie”. Ludzie przyszli prosto od warsztatów...

Świetny angielski autor. Dla widzów od osiemnastu lat. Zobaczymy jak to wyjdzie 17 listopada. Potem Calderon „Księżniczka na opak wywrócona”. Kolorowy sen, kostiumowa zabawa. I równolegle satyryczna komedia jugosłowiańskiego pisarza Brešana „Hamlet we wsi Głucha Dolina”. Głośna to sztuka grana już na kilku polskich scenach z ogromnym powodzeniem. A w marcu premiera ostatniego dramatu Wyspiańskiego „Powrót Odysa”. Rzecz o ojczyźnie, o przejmującym losie człowieka. Po premierze „Krola Edypa” druga pozycja wyznaczająca drogę w budowaniu kształtu teatru. W marcu również premiera znakomitej komedii cieszącej się ogromnym powodzeniem u widzów „Jak się kochają w sferach niższych” Ayckbourn. Myślę, że ta premiera otworzy działalność prawdziwej już małej sceny, budowanej od kilku lat, mam nadzieję. Parkiet już położono. A pod koniec sezonu Gombrowicz, znany u nas z inscenizacji „Operetki” Prusa, Teraz będzie to „Iwona księżniczka Burgunda”. I Witkacy „Wariat i zakonnica”. Zamierzenia ogromnie trudne, zdaje sobie z tego sprawę, ale cóż, życie nauczyło mnie przewyżczać trudności, lubię walczyć — w sytuacjach podbramkowych byłem zawsze najlepszy.

Najważniejsze zadanie to walka o wysoki poziom artystyczny teatru. Sprawy organizacyjne, administracyjne, finansowe są „na głowie” dyrektora Rudnika, ale dyrektor trudności umie znakomicie przewyżczać.

o października odbyła się premiera cyklu „Poznajemy teatr”. Cykl ten razem z Wydziałem Kultury, Wydziałem Oświaty, WDK teatr będzie prowadził w całym województwie w ramach edukacji teatralnej młodzieży. I jeszcze teatr przy stoliku — chcielibyśmy wraz z MPIK dać szansę autorom, którzy nie zawsze, niestety, mogą znaleźć się na deskach scenicznych. Beskett, Ionesco, Genet, mam nadzieję, że można będzie o ich twórczości podyskutować.

Ślupsk i teatr, jakie związki łączą mieszkańców miasta z teatrem, czy Państwo uważacie, że jest to Wasz teatr, a może, że ma szansę być Waszym teatrem, a jeżeli nie jest, to dlaczego? Powinien to być dobry teatr — oczywiście, tu nie ma dyskusji. Ale powinno to być takie miejsce, do którego co jakiś czas można przyjść, zobaczyć, co tam się dzieje, podyskutować, podsunąć pomysły. Zwyczajnie przyjść do siebie. Zapraszam serdecznie, serdecznie proszę także o listy.

Mój drugi sezon zaczął się 2 października. Sala prób, w której odbyło się zebranie zespołu artystycznego nie mogła już wszystkich pomieścić. Zaczynamy.

RYSZARD JAŚNIEWICZ

NOWE SPOJRZENIE NA ZAKŁADOWĄ KULTURĘ

Sztuka

przy

warsztacie

Czy otoczenie zakładu pracy, wygląd hal produkcyjnych, korytarzy i pokoi może stanowić istotny czynnik kształtowania stosunku do pracy? Wnioskując ze szczytnych haseł o potrzebie humanizacji pracy i rozwoju kultury w zakładach jest to sprawa oczywista. A jednak jakże wielu dyrektorów, działaczy związków zawodowych i organizacji partyjnych zapomina o tej prostej prawdzie, iż byt społeczny, a więc i kultura w miejscu pracy, kształtuje świadomość pracownika. Wiele zakładów ciągle straszy szarżyzną hal produkcyjnych, bałaganem i hałdami śmieci, nieporządkiem w toaletach i na zapleczu. Choć oczywiście są także wyjątki — na przykład Fabryka Rękawiczek i Odzieży Skórzanej w Miastku.

Zakład już z daleka robi dobre wrażenie. Zadbane trawniki, przed stołówką interesująca rzeźba wykonana przez koszalińskich artystów, estetyczne i, co ważne, aktualne tablice ogłoszeniowe. Na każdym kroku widać troskliwą rękę dobrego gospodarza. Wewnątrz zaś zaskoczenie. Na ścianach korytarzy, przyozdobionych boazerią, mnóstwo obrazów, kwiatów i umieszczonych w gablotach trofeów fabryki i zakładowych hobbystów. To głównie zasługa entuzjasty i wprost fanatycznego zwolennika estetyzacji zakładu dyr. Bogusława Karwowskiego. Od kilku lat gromadził pamiątki z historii zakładu, systematycznie kupował najciekawsze reprodukcje i dbał o ich właściwą ekspozycję w zakładzie. Dziś fabryka jest miejscem pracy, gdzie wchodzi się z przyjemnością i hasło umieszczone na wewnętrznej stronie zakładowej bramy: „Dziękujemy za dobrą pracę” wcale nie brzmi jak banał.

Powodem do dumy miasteczkich białoskórników są nie tylko obrazy i gabloty.

Najbardziej chwalą się wspaniałą kolekcją kwiatów. Znajdujemy je wszędzie — w pokojach, na korytarzach a przede wszystkim w halach produkcyjnych. Jest nawet mała fontanna i kilka oryginalnych gazonów. Pracownicy mówią, że teraz nie wyobrażają sobie innych warunków pracy. Dbają zresztą o owe kwietniki jak o własne. Niemal każdy na wstępie rozmowy podkreślał zalety estetycznego miejsca pracy. Nawet maszyny szwalnicze przybrały odmienny wygląd — obszyto je firanką.

Oczywiście obecny wystrój zakładu nie jest rezultatem jednorazowej akcji estetyzacyjnej. To wieloletni proces. Wszystkie modele odzieży najpierw poddawane są krytycznemu osądowi pracowników. Wytrobiony gust i praktycznym nakazuje szwaczkom oceniać proponowane modele w myśl zasady: czy ja sama chciałabym to nosić. Wszelkie uwagi notują pracownicy działu wzornictwa i wykorzystują przy projektowaniu kolejnych kolekcji. Powiększyła się więc kolekcja znaków jakości i medali uzyskanych na targach.

Bodaj najczęściej o wpływie estetyki miejsca pracy na wyniki produkcyjne może powiedzieć plastyk-projektant z zakładowej wzorcowni Lucyna Majka. Jako absolwentka Liceum Plastycznego w Bydgoszczy postanowiła zrealizować swoje graficzne zamówienia właśnie przy projektowaniu wzorów odzieży skórzananej. Nie rezygnowała także z własnych prac plastycznych. Docenił to dyrektor Karwowski i tak zrodził się swoisty układ: dyrektor stwarza warunki dla pomysłów plastyka, a plastyczka traktuje wygląd zakładu jako swoje drugie zadanie. A pracy nie brakuje. Przygotowuje okolicznościowe wystawy i dekoracje z okazji świąt państwowych i zakładowych, dba o wygląd i aktualizację zbiorów w licznych gablotach, prowadzi kronikę zakładu i... systematycznie uzupełnia zbiory zakładowej galerii malarstwa pejzażowego. Sporo udało się już zrobić. Ostatnio np. p. Lucyna przygotowała gablotę, w której zgromadzono stare, już prawie zabytkowe maszyny i oprządkowanie technologiczne. Po „remanencie” zakładowych zakamarków powstał załazek małego muzeum.

Zdaniem projektantki załoga już przyzwyczaiła się do takiego wystroju wnętrza zakładu. Nierzadko przychodzą do niej pracownicy podpowiadające pomysły i sposoby dekoracji. Cichym marzeniem p. Lucyny jest utworzenie kółka plastycznego, w którym pracownicy mogliby rozwijać swoje zainteresowania. Bo że tacy ludzie są w załodze jest głęboko przekonana. A gdyby tak na zbliżające się 15-lecie za-

kładu ogłosić konkurs na prace plastyczne?

Zapytany o koszty tej działalności przewodniczący Rady Pracowniczej Antoni Wazdrag uśmiecha się i dowodzi, że w porównaniu z ogółem wydatków są to sumy tak niewielkie, że nie ma o czym mówić. Zbiory gromadzi się latami, wydatkuje po kilkanaście tysięcy. — A wielkie wyrasta przecież z małego — dodaje. Może więc znajdują się odpowiednie warunki dla amatorów malowania i rzeźby. Obecnie nie mamy właściwych pomieszczeń.

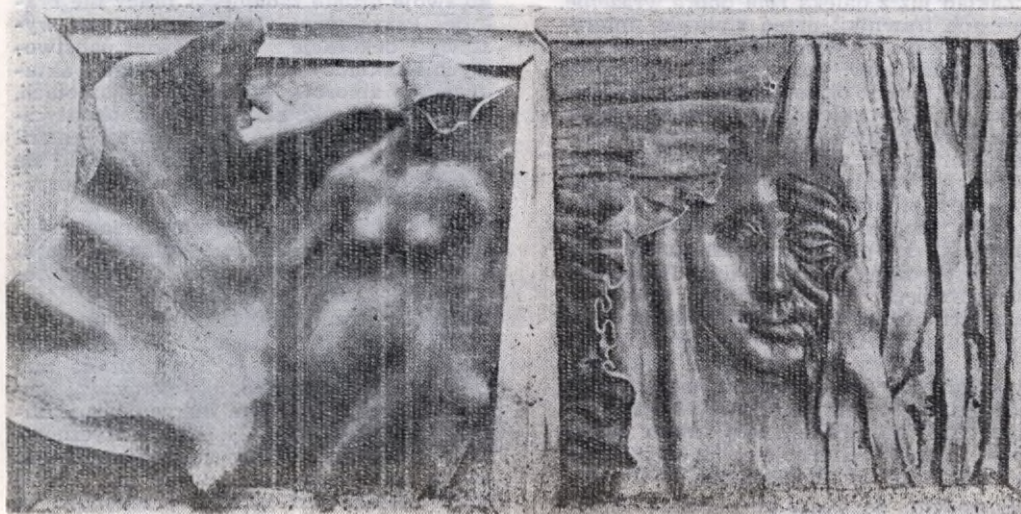
PLASTYKA

Sobie a muzom?

W Słupsku organizowane są cztery plenery, na które rokrocznie przyjeżdża blisko setka artystów z całego kraju a nawet z zagranicy. Przyjeżdżają chętnie i czują się tu dobrze. Plenery utrzymywane są na poziomie, którego nie powstydziliby się i... Paryż, gdyby przenieść tam polskie obyczaje. Ale bogaci są zbyt biedni, oby opłacać pobyt artysty tylko dlatego, by raczył malować... My zaś jesteśmy biedniejsi, a lożymy spore sumy.

Na XVI Plenum KC PZPR wiele uwagi poświęcono po-rzebie nowego spojrzenia na zakładową kulturę. Bez konkretnych działań, jak w miasteczkiej FRIOS, nie uda się jednak ruszyć z miejsca. Nie pomogą także różnego rodzaju programy i obj.z-dowe chaltury pod hasłem „Z wizytą u was”. Potrzeba powszechnej świadomości, że wartościowa produkcja może powstać w dobrze, estetycznie zorganizowanym miejscu pracy.

ANTONI KUSTUSZ





I co stąd mamy? Twierdzą, że dużo! Ale też efektów nie umiemy zdyskontować. Przyczyn tego szukać trzeba w ociążałości instytucji, które upowszechnianie kultury mają w zapisie.

Zacznijmy od przypomnienia: w Słupsku mieszka, pracuje i tworzy ponad trzydziestu artystów plastyków. Wielu spośród nich wnosi liczący się wkład do kultury narodowej. Jest to środowisko, o którym w kraju i za granicą mówi się.

Plenery adresowane są przede wszystkim do miejscowego środowiska. Nasi twórcy są ich faktycznymi gospodarzami. Decydują kogo z Polski, a kogo z zagranicy zaprosić do udziału. Sami proponują także koncepcję plenerów. Do zwyczajów weszła zasada pozostawiania przez uczestnika jednej ze swoich prac powstałych podczas pleneru. Staje się ona własnością organizatorów. I oto dochodzimy do sedna sprawy.

Konia z rządem temu, kto wie, jakie są losy pozostawionych dzieł, często bardzo wartościowych. Nie wiadomo, gdzie są przechowywane, w jakich warunkach. Po krótkim pokazie w którejś z nielicznych słupskich galerii giną i świat o nich zapomina. Czasem są pokazane tzw. szerokiej publiczności, gdzieś tam w nieprzystosowanej sali, dowieszone jak ziemniaki...

W magazynach, a raczej magazynie BWA, w Baszcie Czarownic beładnie leżą interesujące dzieła sztuki popołnu z bezwartościowymi, wręcz kiczami. Ale



trudno tam doszukać się osobliwych w naszej kulturze plastycznej dzieł pochodzących z pleneru (już ósmego) w Krzyżni, noszącego nieprecyzyjną nazwę „graficzny”. Z grafiką bowiem ma on niewiele, lub nawet nie ma nic wspólnego.

Skoro mamy świadomość unikatowej twórczej wypowiedzi i tworzywa, dlaczego nie pokazujemy tych prac światu? Dlaczego nie wprowadzamy tych prac do obiegu Galerii Centralnego Biura Wystaw Artystycznych, dlaczego nie ekspozujemy ich przy okazji różnych licznych wystaw, targów, ekspozycji wyrobów przemysłu w kraju i za granicą, dlaczego? Uprzedzam adwersarzy, którzy na pewno będą twierdzić, że nie mamy odpowiednich środków transportu, a przecie

jak... ziemniaki nie można. Ano nie, nie można. Ale zapewne można wyposażyć samochód w odpowiednie stelaże, skrzyżnie itp. urządzenia.

Przed laty chełpiłiśmy się powołaniem w Dębicy Kaszubskiej Galerii Sztuki Współczesnej. Dziś pozostało tylko wspomnienie. Galeria „rozplynęła się” wraz ze zgromadzonymi dziełami sztuki. Ile ich było, gdzie się podziały, tego nikt nie wie. A warto by się dowiedzieć, bowiem jest to własność, że użyję niepopularnego może, ale trafnego w tym przypadku określenia: własność społeczna.

Przed kilkunastoma tygodniami zakończył się plener w Krzyni i Uście. Na krótkich pokazach zaprezentowano gościom efekty. Pokaz pleneru krzyńskiego odbył się w sali konferencyjnej zakładu garbarskiego, zaś usteckiego w domu kultury. Są one nader interesujące. Prace w skórze miały być prezentowane szerszej publiczności w KMPiK w Słupsku w połowie października, ale... zastanawia, dlaczego nie były.

Dorobek powstały w Uście (wreszcie znaleziono właściwą formułę dla tego pleneru i uwzględniono fakt, że Ustka leży nad morzem) mają być pokazane dopiero w grudniu. Dlaczego? Czy nie należało ich ująć w planie BWA i CBWA? Czyżby obawiano się, że nie powstaną dzieła wartościowe? Plenerowe prace mogą być bardziej lub mniej ciekawe, ale zawsze przecież warte pokazania. Środowisko artystyczne czuje się urażone takim brakiem zaufania.

Nasi twórcy są chyba zbyt rzadko prezentowani nie tylko w liczących się salonach krajowych, ale także u nas. Nieczęsto można oglądać ich w telewizji oraz czytać o ich problemach w miejscowej prasie. A przecież artysta zdobywa uznanie nie w pracowni, a w konfrontacji swojego widzenia świata z widzeniem odbiorcy. Tworzenie sobie a muzom nie ma sensu.

CZESŁAW GOMULKIEWICZ

Literatura: jaka będzie?

STEFAN MILER

„... poeta czy powieściopisarz często przeczuwa wcześniej co będzie, co kielkuje złego i dobrego. A każda władza jest uwrażliwiona na krytykę. I w tym momencie najtrudniejszym problemem mecenatu czy władzy jest umiejętność spokojnego i pełnego uwagi odniesienia się do jakiejś nowej wypowiedzi twórczej, która wydaje się szokująca. Po upływie czasu często okazuje się, że w istocie nie była to wypowiedź przeciwko systemowi i jego podstawowym wartościom, lecz przeciwko złu, które w tym systemie istnieje, rozwija się i może stać się istotnym niebezpieczeństwem dla wszystkich” — są to słowa wypowiedziane przez Józefa Teichmę, byłego ministra kultury i sztuki, w wywiadzie udzielonym dla „Radaru” (nr 28 z 12.07.84 r.).

Literatura, jak wyznika z powyższego, a także (w różnym stopniu) sztuka w ogóle, z założenia już jest swoistym sejsmografem, niezwykle czule reagującym na wszelkie nieprawidłowości i deformacje często występujące w wielu dziedzinach życia i ideach współczesnych społeczeństw. Twórczość można by nazwać sumieniem egzystencji człowieka.

Twórca jako szczególnie wrażliwy w odbiorze rzeczywistości, niekonwencjo-

nalnie interpretujący i analizujący tę rzeczywistość, wypowiada się w specyficznej, często enigmatycznej i abstrakcyjnej formie. W tej sytuacji (ale o tym szerzej w dalszej części) dość często utwór jest hermetyczny i trafia jedynie do wąskiego grona odbiorców.

Jaka była więc literatura polska minionego czterdziestolecia? Niniejszy artykuł nie ma ambicji akademickiego omówienia ani oceny literatury tego okresu. Jest tylko uogólnionym punktem widzenia. Kilka poniższych refleksji powstało po lekturze artykułu prof. dr. hab. Mariana Stepnia, który ukazał się na łamach „Polityki” (nr 30 z 28.07.84 r.): „Byłby to niezwykle interesujący i bardzo dramatyczny obraz — pisze M. Stepień — gdyby dokonać przekroju wzdłuż dziejów literatury polskiej ostatniego czterdziestolecia i pokazać, jak pasowała się ona z nową materią życia, by ją poznać, zrozumieć i przedstawić w dziele, jak przełamywała i odrzucała zastane konwencje artystyczne, które jej utrudniały dotarcie do realnej rzeczywistości, jak wreszcie musiała pokonywać bariery zewnętrzne, pozaliterackie (leżące zarówno po stronie środowiska pisarskiego, jak i poza nim), utrudniające pełne przedsta-

wienie wszystkich ważnych przeżyć, prze-
myśleń i problemów polskich. Jak poko-
nywała te bariery i jak musiała przed ni-
mi ustępować”.

W przeszłości nie brakowało konfliktów
na linii twórcy — mecenat. Dość często
polityka tendencyjnie usurpowwała sobie
prawo kształtowania literatury. „Układem
nauczającym — pisze M. Stępnia — nad
wzajemnymi relacjami literatury i poli-
tyki jest prawo narodu do posiadania bo-
gatej, przemawiającej pełnym głosem lite-
ratury i do rozważnej, liczącej się z rea-
liami współczesnego świata, mądrej poli-
tyki gwarantującej pomyślność społeczeń-
stwa i państwa”. Nieco dalej zaś dodaje:
„... W pojęciu racji literatury i racji poli-
tyki mieści się również prawo literatury
do polityki i prawo polityki do litera-
tury”.

Słowa M. Stępnia, racjonalne i uwzględ-
niające realia współczesności, winny być
hasłem przewodnim w kontaktach twór-
ca-mecenas. Wartościowa literatura musi
toczyć dialog z prawdą, a ta — nawet
gorzka — nie powinna być unicestwiana,
bo jak powiedział Bertolt Brecht: „Tyle
tylko prawdy utworze sobie drogę, ile my
sami jej wywalczymy. Zwycięstwo rozu-
mu może być tylko zwycięstwem rozum-
nych”.

W dalszych rozważaniach chciałbym
skupić się przede wszystkim na osobistej
wizji jutra i kontekstu, zarówno społecz-
nego, tematycznego, jak i artystycznego.
Myszę, że wszystko, co mieści się w twór-
czości nie tylko literackiej, chociaż ta ma
bodać największą możliwość dotarcia do
drugiego człowieka, winne się sprowadzać
do wspólnego motta, słów, których auto-
rem jest Albert Einstein: „Trzeba, aby
wysiłki naszego mózgu stały się błogosła-
wieństwem, a nie przekleństwem ludz-
kości”.

Tak pojmuję, być może sloganowo, rolę
i cel współczesnej literatury, która winna
powszechnie i bezwzględnie ujawniać
wszelkie mechanizmy ubezwłasnowalnia-
jące jednostki i zbiorowości ludzi.

Literatura musi być bezkompromisowa,
wskazywać na symptomy zła i tendencje
zmierzające do degeneracji psychicznej i
fizycznej człowieka. Inny niż dziennikar-
ski, bo artystyczny, czy też fabularny,
sposób obrazowania musi jednak być
prawidłowo odebrany przez czytelnika.
Literatura, poezja szczególnie, ma prawo
do „udziwnień”, tzn. niekonwencjonalnego
języka i formy przekazu.

Wspomniany Albert Einstein powie-
dział: „Wszystko powinno się robić tak
prosto, jak tylko jest to możliwe — ale
nie prościej”.

Prawdą jest jednak, że wiele utworów
napisanych jest „sobie a muzom”. Prze-
ciwny jestem tworzeniu „sztuki dla sztuki”.
Czasy walki (o człowieka) oczekują

twórczości zaangażowanej, złożonej w
treści, ale komunikatywnej w formie.
Wiele razy słyszy się o niekomunikatyw-
ności utworu, często jednak owa „nie-
komunikatywność” to dyletantyzm inte-
lektualny odbiorcy. Mimo to zarzut
o intelektualnej ciasnocie, posługiwaniu
się symbolami i szyframi czytelnymi dla
nielicznej grupy wtajemniczonych, wresz-
cie uciekaniu od kontrowersyjnych tema-
tów, jest aktualny. Jedno jest pewne —
twórca musi wybrać najlepszą formę i
język, by w utworze optymalnie przeka-
zać zamierzoną myśl, zaś czytelnik powin-
ien tekst analizować, nie zaś tylko czy-
tać.

Twórca powinien mieć na uwadze nie
tylko dobór i konstrukcję słów, ale także
odpowiedzialność za każde słowo. Odpo-
wiedzialność, nie tylko w rozumieniu
prawnym, również sensie znaczeniowym,
jak w cytacie z Norwida: „... odpowied-
nie rzeczy dać słowo”. Szczególnie doty-
czy to poezji. Wiersz, zarówno forma jak
i język, musi być utworem dosłownie
zakończonym. Nie napisanym, tylko
zakończonym. Jeżeli się go publikuje to
wiersz musi być jako „coś” ostatecznego.
Każde użyte w nim słowo powinno być
tylko tym słowem, żadnym innym o po-
dobnym znaczeniu czy wymowie. Wysiłek
intelektualny twórcy musi być połączo-
ny z cierpliwością w poszukiwaniu od-
powiedniej formy i słownictwa utworu.

Czesław Miłosz w „Ars poetica”
pisał: „Zawsze tęskniłem do formy
bardziej pojemnej, która nie byłaby za-
nadto poezją ani nadadto prozą i pozwoli-
łaby się porozumieć nie narażając niko-
go, autora ani czytelnika, na męki wyż-
szego rzędu”. Nie znaczy to wcale, że
warstwa leksykalna utworu musi być
„przezroczysta”. Jednak „ciemność” mo-
wy to nie szaleństwo wyzwolonej wyo-
braźni lecz trudność racjonalistycznego
objaśnienia sytuacji egzystencjalnej czło-
wieka. Głównym, zapewne, celem two-
rzenia jest to, by wiersz miał więz z
odbiorcą, by powstała wspólnota duchowa
między twórcą a odbiorcą. Do tego po-
trzebna jest odwaga twórcy i tolerancja
mecenasa, zaś sama twórczość musi zaj-
mować się najżywotniejszymi sprawami
człowieka i ludzkości.

Powyższe refleksje i uwagi kieruję za-
równo do twórców, szczególnie adeptów
literatury, jak i czytelników. Wszystko
po to, by dla możliwie największego grona
odbiorców, literatura, zwłaszcza poezja,
nie była hermetyczna, a przy tym mó-
wiła o najistotniejszych sprawach współ-
czesnej ludzkiej egzystencji. Rację miał
chyba Dostojewski mówiąc: „Talent jest
zdolnością wypowiadania się i wyrażania
w sposób właściwy wszędzie tam, gdzie
miernota czyni to nieudolnie”.

BS

BOGUMIŁA STOSUJ



Przebudzeni pragnieniem
wejścia w siebie
po uśpieniu
obnażeni
po arytmii serc
z mojego zawstydzenia
twojej niecierpliwości
nieobecniemy w oplocie ramion.

Z osobna.



żał po nocy
z konieczności
papieros
nie do pary
filiżanka herbaty
z wyboru
samotność

zamiast miejsca przy tobie.



Ze starego dnia
wybieram
dojrzałe milczenie twoich myśli
Spadania słów
wyczekuję
aby przeżywanie teraźniejszości
rozpocząć



bliskie okna naszych uczuć
połączę sznurem

klamrami zepnę
doby rozmów wykraczających poza
nie zatrzymane w porę zdarzenia
i jeszcze listy od pierwszego
do pustej kartki tego który napisze
i jeszcze fotografie
bez retuszu czasu

miejsca przez nas opuszczone
i jeszcze





Tedy wykręcić numer
by w milczeniu twego głosu
usłyszeć
w muszli
oddech wiatru
w obrazie nieprzerwanego dźwięku
ujrzeć głębię twoich ramion
biel upału
włóczęgę piaszkowych wzgórz
wystarczy wykręcić numer



Oszukana kobieta
ma 28 lat
i łóżko
na intensywnej terapii
Lekarze mówią
że rany pustej perspektywy
da się zaleczyć
z czasem
Podróż
do nowych miejsc
trzeba będzie zacząć
od nauki chodzenia



Suknie
meble
książki
filiżanki
wypełniły nowy dom
zaparzyła herbatę
zebrała się na odwagę
po rozmowie
ze sobą

zamknęła drzwi.

Grafika Wacława Pomorskiego



W poszukiwaniu mecenasa

JOLANTA NITKOWSKA

Czarne jest miejscowością, o której w Słupsku mówi się, że jest „na końcu świata”. Duża odległość od stolicy województwa nie zachęca do odwiedzin. Niedawno przekroczyło Czarne liczbę 5 tys. mieszkańców i ten fakt pozwolił mu na awans do grupy najmniejszych miast. Nieleafwo tu żyć. Brakuje kanalizacji, głód mieszkaniowy chyba największy w województwie, nawierzchnie ulic straszą, nie ma połączeń komunikacyjnych z dużymi ośrodkami miejskimi. Niewiele ma do zaoferowania mieszkańcom to miasto: kilka bardzo źle zaopatrzonych sklepów (z jednym wyjątkiem — jest nim sklep gospodarstwa domowego, który śmiało może pretendować do miana najlepszego w województwie), restauracja, gdzie zawsze są zaplamione obrusy, ciasne kino, dom kultury zasługujący na miano świetlicy wiejskiej.

Rozmawiałam z kilkoma młodymi ludźmi — nie chcieli swej przyszłości wiązać z „dziurą”, za jaką uznali swoje miasto. Sa jednak w tym mieście także ludzie, którzy tu właśnie odnaleźli swoje miejsce. Naczelnik Czarne — Wojciech Michalski twierdzi, że jest to miasto wyjątkowej urody, tyle że dużo w nim trudnych spraw do rozwiązania. Opinie mieszkańców są podzielone. Każde środowisko żyje własnymi sprawami. Szansą ich zintegrowania mogłaby być kultura, gdyby miasto posiadało placówkę zdolną udźwignąć tak trudne zadanie. W masie spraw nękających mieszkańców problemy kultury zepchnięte zostały na szary koniec.

Dom kultury w Czarne śmiało można nazwać najbrzydszym w województwie. Kiedy w innych miastach zabiegano o rozwój placówek kulturalnych, w Czarne nikomu to nie wydawało się potrzebne.

Dwie sale i jeden pracownik — to miało wystarczyć... Nie zagrzewali tu miesiąc kolejni pracownicy, którzy skwapliwie korzystali z propozycji instytucji oferujących konkurencyjne warunki pracy.

Dwa lata temu przyjechał do Czarnego Stanisław Kadowski — człowiek znany z wielu inicjatyw kulturalnych na terenie byłego województwa koszalińskiego, wieloletni dyrektor domu kultury w Złotowie. Decydując się na pracę w Czarnem — postawił władzom warunki: mieszkanie oraz przystosowanie domu kultury do działalności. Nie były to żądania wygórowane, zwłaszcza że Stanisław Kadowski w środowisku pracowników kultury uchodził za dobrego specjalistę i człowieka wyjątkowo przedsiębiorczego. Ponieważ mieszkanie nie było, nowy dyrektor zamieszkał w pomieszczeniu biurowym. Przyzwyczajony do rozmachu i eksperymentowania nagle poczuł się jak w klatce, bo warunki pracy w domu kultury paraliżowały wszelką działalność.

Najpierw trzeba było zachęcić ludzi do odwiedzania domu kultury. Dlatego nowy dyrektor postanowił wyremontować chociaż jedną salę, by w niej mogły odbywać się zajęcia wymagające kameralności. No i zaczęło się. W jednej sali trwał remont, w drugiej, zamienionej na magazyn krzeseł, odbywały się próby zespołów muzycznych. Trudno dziś dociec, jakich argumentów używał Stanisław Kadowski, dość że do domu kultury zaczęły, oprócz dzieci, przychodzić także pracujące kobiety. Bardzo szybko śpiewający stylizowane przyspiewki zespół stał się lokalną atrakcją. Przekroczono więc próg niemożności.

Udało się zwerbować dorosłych. W repertuarze zespołu pojawiły się utwory o własnym mieście, tutaj napisane i skomponowane. Zespół zdobył nawet nagrody w imprezach wojewódzkich. 17 śpiewających gospodyń — to spory sukces małej placówki. Od członkiń zespołu dowiedziałam się, że na próby czekają z utęsknieniem, bo znalazły receptę na ucieczkę od małomiasteczkowej nudy i plotek. Zawiały się przyjaźnie, nawet imienniny organizują wspólnie. Postanowili także samodzielnie uszyć stroje.

Zespół ma szanse rozwoju. Niedawno bowiem zgłosiła do niego akces załoga Zakładów Drzewnych. W Klubie Twórców przygotowuje się własny program.

Operatywność nowej kadry kulturalnej widoczna jest także w innych dziedzinach. W pomieszczeniu po byłym sklepie monopolowym działają trzy małe sekcje plastyczne. Prezentuje się tutaj także wystawy słupskiego BWA. W bardzo złych warunkach działa teatrzyk żywego słowa i zespoły muzyczne. Jeden musiał zawieść działalność, gdyż nie ma gdzie odbywać prób. Reaktywowała działalność zna-

na niegdyś w województwie sekcja fotograficzna. W ciągu roku dom kultury przygotował 18 własnych programów artystycznych. Jak na stosunkowo niedługi czas działania dorobek to spory, jednak na kulturalne potrzeby miasta — niewiele.

Jeden z radnych stwierdził, że w kulturze dzieje się niewiele, bo nie proponuje się młodzieży atrakcyjnych zajęć. Można by się z tym stwierdzeniem zgodzić, ale trzeba zadać pytanie: czy można więcej wymagać od jednego człowieka zatrudnionego w domu kultury? Czy problemu kultury w Czarnem nie rozwiązano nader powierzchnownie? Znalazł się dyrektor MGOK, niech się więc sam męczy i nie oczekuje od nikogo pomocy? Kultura oczekuje społecznego wsparcia i zrozumienia, a nieraz także pewnych priorytetów.

Jako przykład niech posłuży nie załatwiony od lat problem modernizacji placówki. Była koncepcja wykwaterowania lokatorów, którzy żyją w bardzo prymitywnych warunkach i przystosowania pomieszczeń do pracy kół i sekcji zainteresowań. Jednak społecznej komisji lokalowej nie starczyło chyba... odwagi, by sprawę doprowadzić do końca. Interes społeczny odsunął na dalszy plan. Od dawna pojawiały się też propozycje wykupienia przyległego do placówki gospodarstwa rolnego. W tym widzi naczelnik Michalski szansę poprawy sytuacji. Ja natomiast w jej realizację nie wierzę. Trudno bowiem uwierzyć w wykupienie całego gospodarstwa, skoro przez wiele lat nie udawało się władzom wytargować od właścicieli kilku metrów gruntu, by do sali kinowej dobudować scenę.

Stanisław Kadowski poczuł się oszukany, kiedy komisja lokalowa nie przydzieliła mu obiecwanego mieszkania. Ciągłe nie rozwiązana jest sprawa modernizacji placówki, a już zupełnie źle zatrudnienie instruktorów specjalistów. W Czarnem musiałby znaleźć się dla nich mieszkanie. Stanisław Kadowski narzeka, że zajmuje się wszystkim tylko nie kulturą. Sam niewiele zdziała. Placówka wymaga wsparcia nie tylko etatowego, ale i społecznego mecenatu. Odsuwanie na bliżej nie określonej przyszłość decyzji związanych z zapewnieniem placówce właściwych warunków pracy sprawi, że kultura w tym mieście nie przekroczy nigdy progu zafanego zaścianka, gdzie ludziom brak odwagi i wyobraźni.

Na zdjęciu: śpiewające gospodynie znalazły w zespole receptę na ucieczkę od małomiasteczkowej nudy i plotek.

DYLEMATY KULTURY MASOWEJ

Z perspektywy kapci i wygodnego fotelu...

„... Z nastaniem zmierzchu, owej intymnej pory, władzę nad miastem przejmuje jakaś magiczna siła. Przenika do domów poprzez dachy, ściany, zamknięte okna. I oto nagle starszankowie, otrząsnąwszy się po całodziennym drzemce, ożywiają się, a dzieci rozpierane nadmiarem energii stają się nieprawdopodobnie posłuszne. Uczni odrywają się od swojej pracy, panie domu porzucają niedomyte naczynia w kuchni. Kilka milionów ludzi jak na zawołanie nie widząc się wzajemnie jednocześnie zaczyna śmiać się czy też jednocześnie smuć. Pustoszeją ulice, teatry, czytelnie. Zmniejsza się zużycie wody. (...) Ludzie jak na komendę przestają korzystać z kąpeli, aby później znów jak na komendę udać się do łazienek” napisał pod koniec lat pięćdziesiątych radziecki krytyk i eseista Włodzimierz Sappak rozpoczynając

swoje szkice o istocie i roli telewizji.

O braz Sappaka jest z pewnością nieco przerysowany, ma w sobie nawet coś groteskowego, ale uogólnia zarazem pewną prawidłowość — określa bowiem zwykły sposób reagowania na zjawiska nowe. Pokazuje typowe zachowania towarzyszące początkom upowszechniania telewizji...

„To jakby okupacja” — pisze dalej — twierdząc, że poddanie się jej tworzy wokół człowieka iluzję życia. Iluzoryczna jest bowiem zdobyta nie drogą własnego uciekania, lecz dzięki pomocy usłużnego lektora wiedza, iluzoryczna więź z uśmiechającą się życzliwie spikerką, iluzoryczny świat pełen przygód, dramatycznych napięć czy pięknych widoków, osłabiona zaś autentyczna więź z prawdziwymi ludźmi i problemami. Telewizja nie tylko odciąga nas od sal teatralnych, koncertowych, od dobrej książki i życia, ale wyrabia bierność duchową, obojętność dla drugich, „czyniąc to w sposób przyjemny, zabawiając nas i mamiąc rozrywką z jednakową gorliwością między piątą po południu a dziesiątą wieczorem. W jednym z najlepszych filmów ostatnich lat — czytamy w szkicu Sappaka — w „Przerwanym urlopie”, wciąż włączony telewizor stanowi kontrast z poważnym życiowym dramatem bohaterki”.

Dzięki telewizji jednak — dodaje później — urzeczywistniało się to, co jest najbardziej charakterystyczne dla naszego stulecia, a mianowicie ów związek, współzależność życia każdego człowieka z życiem ludzkości, losami świata. Nikt bowiem nie zaprzeczy, że odgłosy i obrazy z całej planety znalazły się w naszym domu, weszły w naszą codzienność.

Nie cytuję tu i nie streszczam myśli krytyka przypadkowo lub przez szczególne do nich przywiązanie, ale z uwagi na obrazowe uogólnienie sporów, jakie zrodziło powstanie telewizji i jej masowe oddziaływanie.

Równocześnie z nią pojawiło się bowiem sporo sprzecznych na jej temat sądów — formułowanych jako publicysty-

czne refleksje, bądź poparte badaniami rozważania. Jedne dotyczyły problemu artyzmu telewizji — pytały czy jest ona sztuką, inne określały licencję poetycką, jeszcze inne mówiły o — wpisanym w proponowaną przez nią wizję kultury — odbiorcy. Zarzucano jej (i czyni się to nadal), że biernie, mechanicznie rejestruje rzeczywistość, nadmiarem obrazów i informacji tępi wrażliwość, udaremnia estetyczną kontemplację, tworzy dzieła seryjne, ujednolica gusty, zabiera czas itd.

Z drugiej jednak strony — twierdzili zwolennicy — telewizja odrywa ludzi na całe wieczory od „plotki sąsiedzkiej, małego lokalnego głupstwa”, poszerza horyzont widzenia świata, człowieka, kultury, sposobem dostarczania oraz ilością informacji oszczędza czas, przekracza wszystko, czego „zaznać mógł wiejski czy miejski zaścianek”. Zaś dzięki jedynie tu możliwej technice operowania obrazem jest sztuką. Sztuką gestu i mimiki, bo telewizja przywróciła słowu to, co zabrał mu druk, a częściowo i radio — przywróciła pozasłowną, znaczącą dla odbiorcy ekspresję.

Istotnie. Telewizja jest formą osobliwą, ona społecznie funkcjonuje. Z jednej Osobliwa jest też zasada, na jakiej strony sięga po formy znane już wcześniej zarówno w publicystyce, jak i literaturze, kulturze czy życiu społecznym, a więc po wykład, dyskusję, prelekcję, reportaż, sztukę teatralną, powieść, film i równocześnie zasięgiem i rozmiarami oddziaływania zdecydowanie dystansuje owe gatunki, których jest w jakimś sensie dłużniczką (telewizja jest bardziej masowa, niż najbardziej masowy dotąd film — w 1960 roku liczba kinomanów i telewizorów miały się w przybliżeniu do siebie, jak 15 do 100). Z drugiej zaś, jej kontakt z odbiorcą jest w pełnym tego słowa znaczeniu kontaktem anonimowym. Gazeta, powieść, spektakl teatralny czy seans filmowy odczytują swoją akceptację z liczby sprzedanych egzemplarzy czy biletów. Reakcja na program telewizyjny jest sporadyczna. W żadnym zaś wypadku powszechna i wymierna.

Pytanie czy zwalnia ją to z odpowiedzialności za wykorzystywanie praw, które

daje jej ciągła obecność w domu wielomilionowego widza jest tyleż retoryczne co naiwne. Ten fakt bowiem nakłada na nią obowiązek większy. Obowiązek sprośnięcia różnorodnym oczekiwaniom, jakie stawia jej różnorodny odbiorca.

„Gdy telewizja przestaje się wysilać daremnie, by parodiować kino czy filharmonię, ale zakłada, że chce być wielką publicystką, wtedy daje swoje najlepsze rzeczy — to, co w niej oryginalne, to, czego nie potrafi dostarczyć żadna inna domena kultury” — napisał przed laty w „Miesięczniku Literackim” Zygmunt Kałużyński, myśląc o tej formie publicystyki, która ma w sobie coś z plakatu, gazety, przemówienia i teatru, a zarazem adresowana jest osobiście do odbiorcy w jego własnym domu, a zatem publicystyki wielkiej, ale przekazywanej intymnie.

Telewizja nie jest jednak środkiem dostawy zbioru różnorodnych treści i komunikatów, lecz przekazem o odmiennej strukturze. Jest przekazem, w którym słowo i obraz wzajem się przeplatają i wzmacniają. Telewizja — jak powiedział kanadyjski kulturolog McLuhan — zrywa z analitycznym ujęciem świata. Zastępuje jego referowanie przedstawieniem słuchowo-oglądowym. Bardziej lub mniej złożonym, bardziej lub mniej abstrakcyjnym.

Zróżnicowany odbiorca domaga się bowiem zróżnicowanych treści oraz form ich przekazu. Jest przy tym rzeczą oczywistą, że nie tylko telewizja, ale w równym stopniu i widz decyduje o tym, czy świat odbierany będzie z perspektywy kapci i wygodnego fotela, a więc z perspektywy biernego oglądactwa. Sappakowska wizja ujednoliconych zachowań, choć, jak wspomniałam przerysowana, ostrzeża przed ową niebezpieczną, zniewalającą perspektywą. Jakkolwiek by więc rozstrzygać tu istotę i kulturową rolę telewizji, pamiętać trzeba, że stawia ona przed swym odbiorcą szereg pytań ważkich i poruszających je tylko pułapek, które z perspektywy kapci i... są niedostrzegalne. Spróbujemy je oczywiście odnaleźć, choć będzie to już temat kolejnego spotkania.

„— Jeżeli ktoś chciałby wydrukować moje pamiętniki i wyjawić część prawdy, to proszę bardzo... Ale bez nanoszenia poprawek. Jeżeli nie — to nie!”

Malarz i... kronikarz

ZBIGNIEW BABIARZ-ZYCH

„Wartości pamiętnika nie mierzy się, jak wiadomo, jedynie walorami literackimi, artystycznymi i estetycznymi. Głównym kryterium oceny pamiętnika jest jego wartość jako dokumentu. Nie oznacza to jednak, że historyk czy też socjolog może potraktować pamiętnik jako dokument źródłowy. Pamiętnik jest jednak dokumentem kapitalnym, jest uzupełnieniem do materiałów źródłowych, zwłaszcza wtedy, kiedy jego autor był uwikłany w istotne zdarzenia, które wymagają wielostronnych naświetleń. Nawet, jeżeli wydarzenia opisane w pamiętniku są przedstawione niedokładnie czy też wręcz opacznie, to i wtedy nie traci on swej wartości jako dokument, chociażby dlatego, że ułatwia badaczowi porównanie sytuacji obiektywnej z subiektywnym wyobrażeniem ludzi, którzy sytuację tę sami tworzyli”.

Takim oto wstępem opatrzył pierwszą część swojego pamiętnika Franciszek Gieresz, mieszkaniec Gardny Wielkiej, ochotnik 82 Pułku Piechoty z Brześcia nad Bugiem. O F. Gieresz jako o malarzu, trzykrotnym laureacie nagrody wojewody śląskiego „Za działalność w upowszechnianiu kultury” pisałem w 32 numerze „Zbiżeń” (z dn. 9.VIII. br.). Dziś o Franciszku Gieresz z Gardny Wielkiej jako kronikarzu.

... „Na zakończenie kursu podoficerskiego przyjechał na inspekcję dowódca dywizji generał Czechak. Dzień przed ćwiczeniami dowódca plutonu por. Durak wyznaczył mnie na dowódcę plutonu. Powiedziałem, że przede mną jest jeszcze 35 lepszych podoficerów... „ale wy Gieresz na pewno dacie sobie radę — odpowiedział por. Durak — też jesteście mocni”... Zastępcą moim był szeregowy Wroński, który miał pierwszą lokatę. Ze-

brałem pluton, przejrzałem, wyznaczyłem drużynowych. Następnego ranka kompania szkolna wyruszyła na ćwiczenia. (...) Kompania w składzie trzech plutonów, plus pluton CKM, wsparta ogniem artylerii ruszyła do natarcia. W pierwszej chwili plutony szły „schodami” w lewo. Później trzy plutony na jednej wysokości. Po otrzymaniu ognia od nieprzyjaciela nastąpiło natarcie i tu zacząłem dowodzić plutonem. W pewnej chwili dałem znak „rojem marsz”. Następnie: „Trzy drużyny na jednej wysokości i nacierać w kierunku wsi Brzozówka”. W tym czasie dałem też rozkaz plt. CKM, żeby utworzył ogień. Po dojsciu na odległość szturmową dałem rozkaz: „przyszykować granaty i bagnety”. Poderwałem pluton do szturmu i z krzykiem „ura” wpadliśmy do okopów nieprzyjaciela...”

Franciszek Gieresz urodził się 21 maja 1910 roku w Brześciu. Był jedynakiem. W czasie I wojny światowej znalazł się wraz z rodzicami w Rosji w miejscowości Karaczow, potem w Tambowie, Moskwie i w Rumunii — w Czornowicach. W czasie odwrotu wojsk carskich Giereszowie zostali ewakuowani z Czernowic do Moskwy, skąd następnie wysłano ich do miejscowości Isagorka, koło Archangielska. Tam właśnie ojciec G. Gieresza otrzymał pracę zwrotniczego na kolei. W 1918 roku zgłosił chęć powrotu do Polski i pierwszym transportem wysłano ich do Ojczyzny. Przyjechali do Brześcia.

Przed wojną ojciec F. Gieresza dzierżawił ogród owocowy u kapitanowej Anny Kuk, która w 1914 roku wyjeżdżając z Rosji dała mu upoważnienie na opiekowanie się majątkiem. W 1921 roku po załatwieniu formalności w Sądzie Okręgowym w Pińsku ojciec F. Gieresza został kuratorem na majątku A. Kuk. Wte-

dy też wynajął nauczycielkę Kozłowską. Udzielając Franciszkowi korepetycji przygotowywała go do nauki w Gimnazjum im. Romualda Traugutta w Brześciu. Jednak F. Gieresz nie został uczniem. Uciekł z egzaminu i poszedł do Szkoły Powszechnej przy ul. Zygmuntońskiej. Tam zapisano go do trzeciego oddziału, i tu zaczęła się jego życiowa przygoda ze sportem i malarstwem. Rozpoczął życie, które F. Gieresz uzna później za godne pisania i opisze je w swoim pamiętniku.

Sto pięćdziesiąt stron liczy pierwsza część pamiętnika F. Gieresza i obejmuje lata 1920—1945. Opisuje w nim F. Gieresz swoje najpiękniejsze lata szkolne, lata sukcesów sportowych, lata szczęścia miłości, lata odbywania służby wojskowej, później pracy w wojsku. Opisuje swoje losy, ukazuje stosunki, jakie panowały w polskiej szkole, opisuje nade wszystko, niemalże od podszewki, 82 Pułk Piechoty, którego został żołnierzem, w którym zastała go II wojna światowa i w którym toczył pierwsze boje z nieprzyjacielem. Rótem ukazane są lata okupacji niemieckiej, jego pobyt w czołzie w Działdowie, powrót do Brześcia, ciężkie zmagania z wojennym życiem i znowu służba wojskowa, bo przeszedł cały szlak bojowy II Armii Wojska Polskiego. Opisuje F. Gieresz koleje swego losu, ale nade wszystko w pamiętniku swym stara się pokazać to co stanowi otoczkę życia przez pryzmat zachodzących w nim wydarzeń, ich niepowtarzalną atmosferę i jak sam podkreśla — prawdę.

... „W czasie zajęć pisaliśmy meldunki, robiliśmy szkice. Podoficerowie zawodowi pisali błędnie, robili dużo „byków” ortograficznych. Po każdym meldunku czy szkicu otrzymywałem wynik bardzo doory... W życiorysach, które pisali oficerowie zawodowi i starsi strzelcy też znajdowało się dużo błędów. Tylko ja swój życiorys napisałem bezbłędnie. Dzięki temu po dwóch tygodniach mojego pobytu w 4 kompanii, kpt. Badiąg podał wniosek o awansowanie mnie do stopnia kaprała i awans ten otrzymałem”...

„Powyższy pamiętnik to krótka kronika mego życia ze szkolnej ławy, wyniki sportowe, wstąpienie na ochotnika do 82 Pułku Piechoty i służba w charakterze podoficera zawodowego oraz krótka historia 4 kompanii 82 PP z 30 Dywizji Piechoty. W jej szeregach w stopniu sierżanta przeszedłem szlaki bojowe w walkach odwetowych z Wielunia do Modlina oraz przebywałem w obocie jenieckim w Działdowie — napisał we wstępie pamiętnika F. Gieresz. — W roku 1944 znalazłem się ponownie w wojsku pol-

skim — w II Armii, 9 Dywizji Piechoty i z Samodzielnym Plutonem Artylerii przeszedłem szlak bojowy, wiodący z Lubelszczyzny przez Wielkopolskę, Dolny Śląsk, i dalej przez Nysę do Drezna. Pisząc ten pamiętnik chciałem przede wszystkim z utrwalać w pamięci wydarzenia i twarzyć ludzkich wydobyc najprostszą prawdę z tamtego czasu, niepowtarzalną atmosferę tamtych miesięcy, dni marszów i walk, najdziwniej pofatygowanych losów ludzi, o których się mówiło i o których dziś nie można zapomnieć, jak: Antoni Chruściel, dowódca 82 PP, major Ratajczak — dowódca 15 PP, sierż. Zylinger, por. Postrach i wielu innych...

Właśnie, głównie z uwagi na zawarte w pamiętniku F. Gieresza opisy charakterów i zachowań żołnierzy i dowódców, ukazanie sposobów dowodzenia, różnych porządków i „nieporządków” wojskowych, pamiętnik ten w oczach czytelnika, a także współczesnego historyka nabiera szczególnego znaczenia. A jak autor głęboko sięga w swych opisach, jak stara się być wierny prawdzie i bezwzględny wobec niej, świadczyć może fakt, iż dotąd nie ukazał się drukiem. Próby takie bowiem były podejmowane. Nie doszły jednak do skutku, ponieważ — jak mówi F. Gieresz — nie zgodził się i nie zgadza nadal na poprawki w rękopisie, które pozostawiali mu różni recenzenci. Zależy mu na autentycznym oddaniu atmosfery tamtych lat i opisanu tamtych ludzi, takimi jakimi on ich zapamiętał i widział. — Jeżeli ktoś chciałby wydrukować moje pamiętniki, i wyjawić część prawdy, to proszę bardzo — mówi autor — ale bez nanoszenia poprawek. Jeżeli nie — to nie! Nie jestem pisarzem, drukować więc nie muszę.

Pisanie pamiętników, zapisywanie różnych ważnych wydarzeń z życia i opisywanie ich własnym komentarzem to dla F. Gieresza przyjemność, druga pasja. Bo pierwszą bezwzględnie jest malarstwo. Jest pasją, która jednak tak samo jak malowanie różnych krajobrazów i portretów ludzkich, F. Gieresz uważa za ważne i potrzebne. Już rozpoczął prace nad napisaniem drugiej części pamiętnika, obejmującego pierwsze lata powojenne i następne. Będzie to z pewnością praca interesująca, bo życie autora na Ziemiach Odzyskanych w tym okresie także było bogate.

P.S. Cytowane fragmenty pochodzą z pamiętnika F. Gieresza.

Gorzki smak czekolady

Fragmenty
wspomnień
z pierwszych
lat
w Słupsku (12)

KAZIMIERZ KWIECIŃ

Inżynier Stecki już odszedł, następcą na stanowisku Głównego Inżyniera został dotychczasowy kierownik produkcji inż. Edmund Gatz. Kierownikiem produkcji mianowałem inż. Jana Bolda.

Fabryka otrzymała zamówienie eksportowe do Anglii, na drobne karmelki twarde, ręcznie zawijane. Dla całej, już teraz całkowicie odmienionej załogi — choć ludzie zostali ci sami — było to radosne przeżycie i satysfakcja. Zawijaczki ręcznie pracowały z wypiekami na twarzy jeszcze staranniej. Ile razy wchodziłem do nich stwierdzałem, że zawsze ileś kobiet brak przy stołach.

— *One, panie dyrektorze* — wyjaśniała mi brygadzystka Falkowa — *teraz tak często biegną myć ręce, bo to przecież eksport.*

Gdy już cała partia eksportowa była w ekspedycji gotowa do wysyłki do Gdyni — do „Hartwiga” przybiegła do mnie rozdygotana inż. Adela Klufowa, główny technolog i krzyknęła:

— *Bunt! Robotnicy transportu odmawiają załadunku kartonów na samochody! Nie chcą i już!*

Przy rampie zebrało się sporo ludzi, słysząc podniesione głosy. Wpadłem tam ze zmarszczoną brwią.

— *Co tu się dzieje? dlaczego nie chcesz ładować?* — Rozstąpili się niepewni. Po chwili wystąpił starszy wiekiem robotnik, zawsze spokojny i pracowity ładowacz w brygadzie transportowej ob. Rozłożył, wyciągnął ręce.

— *Jak tu brać te czyściutkie kartony „takimi rękami”?* Niech pan spojrzy, po węglu, tego nie domyje... A potem Angliki powiedzą, że towar przyszedł posmoleny, brudny... Przecież to eksport...

Ogromny ciężar spadł mi z piersi. Przy-

cisnąłem Rozlazłego do piersi. Jak nie kochać takich ludzi?

„Pomorzanka” objęła patronat nad trzema fabrykami w województwie koszalińskim: „Maroną” w Kołobrzegu, „Bogusławką” w Koszalinie i „Słowinką” w Szczecinku. W ten oto sposób powstał Koszaliński Ośrodek Przemysłu Cukierniczego z siedzibą w Słupsku. Nasza fabryka była zakładem wiodącym. Sekretariat Ośrodka prowadziła inż. A. Klufowa i inż. Krystyna Bolda. Kolegia dyrektorów i kierowników technicznych tych fabryk odbywały się co kwartał. Ustalono wspólne plany produkcji, inwestycji, szkolenia itp.

Gdy „Bogusławka” w Koszalinie znalazła się w niezwykle trudnej sytuacji wysłaliśmy do niej ekipę naszych specjalistów wcalem przeanalizowania strat, trudności, organizacji itp. Po kilku tygodniach analiza i nowe plany zostały przez opracowane i zakład wybrnął z trudności.

Dyrektor Bednarski przysłał do „Pomorzanki” grupę swoich robotnic, aby przyjrzały się dobrej pracy naszej załogi. Grupki tej ekipy rozeszły się po działach. Przechodząc obok jednej z takich grup, usłyszałem słowa jednej z naszych kobiet mówiącej z przekonaniem:

— *U nas kiedyś był także okropny bałagan, ale gdy wrócił obecny dyrektor, wziął wszystkich krótko, ostro, teraz już zlagodniał zupełnie, ale porządek i posłuch jest. Zupełnie inna robota...*

Miałem uczucie, że po latach ciężkiego wysiłku ktoś mi zawiesił order na piersi. Te słowa robotnicy wróciły mi ochotę do życia, które nabrało nowego sensu.

W r. 1963 produkcja wzrosła do 6.452 ton, w tym 815 ton galanterii czekoladowej. Kilka dziewcząt wysłaliśmy do „Wedla” na praktykę przy produkcji „ptasiego mleczka”. Wybraliśmy dziewczęta in-

teligentne, z większą już praktyką w wyrobach czekoladowych. Wróciły po miesiącu, z zeszytami pełnymi notatek z zakresu technologii. Próby gotowania „ptasiego mleczka”, początkowo nieudane, zakończyły się pozytywnie. Można było przystąpić do produkcji na większą skalę. Rynek „chwycił” i powoli, powoli, doskonała jakość tego wyrobu zainteresowała odbiorców. Wkrótce nasze „ptasie mleczko” uzyskało znak jakości. W sumie mieliśmy już 13 znaków jakości.

Nie była to „Pomorzanka” z lat 1954—1956, ale fabryka rozwijająca się i już mająca 7 sklepów patronackich w większych miastach wojewódzkich oraz pokazne stoisko i miejsce na wystawie w sklepie patronackim kilku innych fabryk, np. w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej. Napływały też zamówienia z „Baltony” w Gdyni, co było tym ciekawsze, że nie my, lecz sama „Baltona” zwróciła się do nas o współpracę.

„Pomorzanka” zatrudniała już 13 czy 14 osób z wyższym wykształceniem. Miała własny ośrodek lekarski i zabiegowy. Biblioteka zakładowa bogaciła się, przekraczała już grubo ponad 3000 tomów. Udało mi się — dzięki staraniom w Ministerstwie Oświaty — zorganizować Cukierniczy Wydział Zaoczny przy Technikum Gospodarczym w Słusku. Zgłosiło się 100 dziewcząt i kobiet z naszych fabryk należących do Koszalińskiego Ośrodka Przemysłu Cukierniczego. Niestety — nie udało się. Po roku Wydział Cukierniczy rozwiązano z powodu bardzo częstych absencji słuchaczek.

Latem 1964 r. obca brygada dekarzy remontowała dach kryty papą. Czy któraś z nich miała imieniny tego dnia, czy była to ich „normalna” sprawa — trudno powiedzieć, dość, że przemycili przez portiernię jedną czy więcej butelek wina. Portierzy nie rewidują wchodzących.

Pili na dachu, nad warzelnią karmelu, zaś pustą butelkę któryś z nich wyrzucił tak niefortunnie, że wpadła do blaszanej rurki o dużej średnicy, przez którą dostawała się do wyparku próżniowej, gdzie rozbita na drobne cząstki zatrzymała się na sitku ochronnym. Gotowanie karmelu wstrzymane. Przyjechały dwa samochody milicji. Dekarzy aresztowano, a Sanepid zaplombował całodzienną produkcję jednej zmiany karmelarskiej, gdyż zachodziło podejrzenie, że drobne odpryski szkła mogły dostać do karmelków. Zaplombowano wyroby wartości około 100 tys. zł.

Sprawa stała się nieprzyjemna, choć naszej winy w tym nie było, ale proku-

rator — gdy zechce — zawsze znajdzie odpowiedni paragraf w kodeksie karnym, choćby np. z tego powodu, że owa rura blaszana wystająca z dachu nie miała osłony... Poza tym — duża strata! A zresztą, diabli wiedzą, czy rzeczywiście szkło dostało się do karmelków. Naradzaliśmy się, ale nic mądrego nie wymyśliśmy. Po kilku tygodniach ktoś poradził, aby Sanepid pobrał z każdej muldy czy beczki wyrwywkowo próbki i poddał je analizie. Pobrali większe ilości i nadesłali pismo, iż nic podejrzanego w nich nie było. Prosiłem głównego technologa o zezwolenie „aresztowanego” towaru — do sprzedaży, ale inż. Klufowa bała się, choć pismo Sanepidu formalnie rozgrzeszało nas. Rozpatrując jednak rzecz w kategoriach moralnych nie było pewności, czy w karmelkach nie pobranych do analizy nie ma odprysków szkła. Po długim namyśle zdecydowałem się — za zgodą gł. technologa — puścić towar do magazynu i sprzedać. Potem jednak z dużym niepokojem czytałem gazety w obawie, że znajdzie się tam notatka, iż ktoś rozgrzył nasz karmelek ze szkłem. Minęło wiele miesięcy i żadnych reklamacji z tego powodu nie było.

Jakże często fotel dyrektorski zmieniał się w fotel tortur. Jakże często zadręczałem pracowników, np. księgowości, spokojnie pracującym bez tej szarpiącej nerwy odpowiedzialności. Chyba nikt w zakładzie nie zdawał sobie sprawy ile trosk i niepokoju przeżywa dyrektor każdego dnia. Zazdrośczone mi tylko dyrektorskich poborów i premii.

Któregoś wieczoru poszedłem zobaczyć, co się dzieje w naszym klubie. W tym czasie dwóch młodych, pijanych, obcych mężczyzn wtargnęło do umywalni klubu i zaczęło ją demolować. Zerwali ze ścian i stłukli lustro, rzucili na posadzkę, zaczęli demolować inne urządzenia. Z pomocą kol. Wronowskiej i innych osób przepędziliśmy pijaków na ulicę. Gdy w kilkanaście minut potem opuściliśmy klub i zamierzałem udać się do fabryki, nagle z tyłu otrzymałem cios w skroń, a kiedy się odwróciłem — jeszcze w usta. Dowlokłem się, zalany krwią, do portierni. Za uciekającymi pobiegło kilku pracowników zakładu. Schwytali ich. Napastnikami okazali się ci pijani młodzieńcy, przepędzeni z klubu.

Przeleżałem przeszło 3-tygodnie ze wstrząsem mózgu. Sprawca otrzymał dwa i pół roku więzienia.

LEKTURY STANISŁAWA MISAKOWSKIEGO

Hiob

W swojej domowej bibliotece posiadam „Księgę Hioba” w tłumaczeniu Czesława Miłosza, wydaną nakładem Editions du dialogue w Paryżu. Jest to biały kruk, którego nie nabędzie się w księgarni, ani pożyczcy w bibliotece.

Do tej książki wracam jak do modlitwy i za każdym razem odkrywam w niej nowe myśli, pouczenia, sentencje. Takiej pozycji nie czyta się jednym tchem, nie ma w niej akcji, fabuły, rozwiązań. Składa się na nią wiele zależnych, a jednocześnie niezależnych od siebie wersów, funkcjonujących samodzielnie, choć łączy je wspólna cecha — dążenie do ideału. Podkreślam dążenie, gdyż ta czynność bogatsza jest w duchowe i emocjonalne treści, niż samo osiągnięcie celu. To, co w życiu codziennym nazywamy szczęściem, w rzeczywistości jest tylko złudzeniem, ponieważ każde zrealizowane poczynanie wywołuje nowe, jeszcze bardziej kuszące obszary poszukiwań. Jest to bołaj warunkiem istnienia, bowiem utrata celu równoznaczna jest utracie sensu życia. Jeżeli człowiek nie wie dokąd iść, niepotrzebne mu światło.

Dążenie do celu obfituje jednak w niezliczone przeszkody, które, gdy zbliżamy się do wytyczonego punktu, narastają, aż w końcu stają przed nami nieprzeniknionym murem. Jest za nim to, co nas kusi i czego się boimy. Doskonałość, podobnie jak absolut, może być tylko w wyobraźni, nigdy zaś w realnej rzeczywistości.

Kim był Hiob? Czy był postacią historyczną, mężem prawym i nienagannym, bojącym się Boga i stroniącym od złego? Czy miał siedmiu synów i trzy córki, czy posiadał tysiące wołów, owiec i wielbłądów? Wydaje mi się, że nie jest to istotne. Dla nas Hiob może być tylko symbolem człowieka znajdującego się między dwiema skrajnościami: dobrem i złem. Człowiekiem jak każdy z nas, jak każdy z czterech i pół miliarda ludzi na Ziemi, dla których życie jest walką nie tylko o materialny byt, lecz również o godność

wobec siebie samego i wobec Tego, którego nigdy nie poznamy. W tej walce nie ma zwycięzców i zwyciężonych, toczy się ona w nas samych. Najboleśniej jest bezradność, dla pokonania której nie pomogą najpotężniejsze zasoby materialne. Olbrzymie posiadłości Hioba nie pozbawiły go rozterek, niepewności, bezradności.

„Na czym polega męka Hioba? — czytamy w Przesłaniu — Można by tak powiedzieć: Hiob jest przekonany o swojej prawości, a jednocześnie jest pewny, że to Bóg Sprawiedliwy znęca się nad nim. Rozdzierający dramat, przepaść nie do pokonania”. Wahania Hioba są ciętą oscylacją między poczuciem własnej integralności a powracającym obrzydzeniem w stosunku do siebie.

A czy nasze życie nie jest również ciągłym zmaganiem się z czymś do czego się zbliżamy, lecz nigdy nie osiągniemy? Kultura, nauka, sztuka otwierają szerokie horyzonty, ale i tu coraz wyraźniejsze są zaciemnienia, niejasności. Nikt nie odpowie, czy dotknięcie zakazanego owocu znowu nie stanie się dla nas samobójczym. A może właśnie to warunkuje równowagę między dobrem a złem, bez której nie mogłoby istnieć życie? W „Księdze Hioba” czytamy: „Zaprawdę, jesteście ludźmi znośni, a razem z wami umrze wasza mądrość” (12,2). „Ale i ja mam rozum jak wy, anim jest gorszy od was. Komuż te sprawy nie są wiadome?” (12,3).

Oto jeszcze kilka maksym z „Księgi Hioba”, które jak gdyby były pisane dla naszych czasów:

* „Cieżka służba ma człowiek na ziemi, jak dni najemnika są dni jego” (7,1);

* „Jak niewolnik, który wзира na zmierzchu, jak najemnik czekający na zapłatę swoją” (7,2);

* „Tak ja dostałem w udziale miesiące udręki, i noce zgryzoty mnie przypadły” (7,3);

* „Zaprawdę, wiem, że jest tak. Jakże człowiek będzie sprawiedliwy przed Bogiem?” (9,2);

* „Gdyby zechciał odpowiadać się z Nim, nie znalazłby odpowiedzi nawet raz na tysiąc” (9,3);

* „Powiem Bogu: nie potępił mnie, o-znajmii mi, czemu spór wiesz ze mną” (10,2);

* „Jaki masz pożytek z tego, że uciskasz, że aardzisz dziełem rąk Twoich i radzie bezbożnych sprzyjasz?” (10,3).

Rozterki Hioba chwilami dochodzą do buntu:

* „Jak długo będziecie trapić duszę moją i gniebić mnie przemowami?” (19,2);

* „A choćbym naprawdę zbłądził, mój błąd zostaje ze mną” (19,4);

* „Dlaczego nieprawi żyją i starzeją się, i rosną w siłę?” (21,7).

W końcu opór Hioba słabnie, mówi pokornie: „Wiem, że Ty wszystko możesz, i nie wzbroniony jest Tobie żaden zamysł”. (42, 2).

Rozważania Hioba — to skarbnica wieloznacznych, wielopojęciowych myśli, których nie sposób przedstawić w kilku nawet najbardziej dobranych zdaniach. „Księgę Hioba” trzeba czytać, czytać jak abecadło, czytać jak uczeń ciągle pragnący wiedzy.

Do „Księgi Hioba” powróciłem nieprzypadkowo. Dzięki gościnności dyrekcji Słupskiego Teatru Dramatycznego, nadarzyła mi się okazja obejrzenia realizacji scenicznej tego dzieła w wykonaniu Teatru Wybrzeże z Gdańska. Tylko dwa dni (25 i 26 września br.) gościł ten teatr w Słupsku. A szkoda, bo zainteresowanie publiczności było ogromne.

Gdański reżyser Krzysztof Babicki pod-

jął się niezwykle trudnego zadania. „Księga Hioba” niewiele ma wspólnego ze sztuką teatralną. Jest to poezja, poezja biblijno-filozoficzna. Akcje należało stworzyć. Bardzo pomocna w tym była scenografia przygotowana przez Annę Sekulę. Nie sposób też przemilczeć nietuzinkowej gry aktorów. Powstało przedstawienie, które nie tylko trzymało widzów w napięciu, ale również pobudzało do głębszych rozważań i przemyśleń. Obserwując reakcje widowni, wyniosłem przekonanie, że zamysł kierownictwa i zespołu Teatru Wybrzeże w pełni się udał.

Na pytanie powtarzające się w przedstawieniu: „Jeżeli nie ma Boga, skąd pochodzi dobro? Jeżeli jest Bóg, skąd pochodzi zło?” — każdy będzie szukał własnej odpowiedzi. Ale czy znajdzie?

STANISŁAW MISAKOWSKI

WYBRANE Z BIBLIOTEKI

Miejsce po Sienkiewicz

Niedawno telewizja przypominała Melchiora Wańkowicza. Ostatnio jakby o nim samym przycichło, a we wrześniu bieżącego roku mija równo 10 lat od jego śmierci. Przypominała Wańkowicza w tym sensie, że Krakowski Ośrodek Telewizyjny przedstawił adaptację „Monte Cassino”. Dzieło Wańkowicza, o którym każdy słyszał, i chyba każdy czytał, a jeśli nie — to się do tego nie przyznaje. Bo utrwalił się pewien kanon kulturalny. W apoteozie bohaterstwa naszego narodu Wańkowicz zajmuje (czy słusznie?) miejsce tuż po Sienkiewiczu.

Wielki to zaszczyt, wielka to estyma i splendor — jakby używając wańkowiczowskiej stylistyki, ale też o krok od konfuzji. Takie ustawienie pewnej części twórczości Wańkowicza, mam tu na myśli przede wszystkim „Monte Cassino”, „Westerplatte”, „Hubal” przesłania zupełnie jego dorobek ważniejszy niż reportażowe opisanie krwawych dni narodu w ostatniej wojnie. Myślę tu głównie o jego publicystyce politycznej, o książkach przewrotnych i ważkich, jak chociażby „Karakafa La Fontaine’a”.

Nie jestem zwolennikiem apoteozy bohaterstwa, jakby to nie oceniać, pisanej ze śladem nachalnego pokrzepiania serc.

Przyznaję, wciąż mnie proza Wańkowicza, ulegam jej czarowi, stylistyce, brzmieniu, ale gdy odkładam „Monte Cassino” na bok zaraz wraca refleksja. Ten patos nie przysłoni niepotrzebnych ofiar. Samossiera II wojny światowej Monte Cassino budzi tyle samo zastrzeżeń, co euforii.

Pisze Wańkowicz „Widzę ciebie ponownie, ziemio męki, pole chwały. Tam, w dole zakłęsa się w krzakach przeczuwana tylko przez zabijanych i ranionych prawda o tobie, przybłyskująca w ostatniej godzinie, dowódca kompanii, przed którym „rozwarła się przepaść nie rozeznaną na mapie”. (...) Ale ja teraz — mając pod sobą teren nie zadymiony, nie obawiając się messerschmittów ani niemieckich pelotek — widzę. Już to dla mnie nie pusty amfiteatr — teren walki — oczekujący na krwawe igrzysko. Zuje mi w oczach każdy szczyt, iar, ścieżka, każde urwisko, kotlinka, spad. Ziemia ta dla mnie nie jest zastęglą stołem plastycznym — te wszustkie jej stoki i przeciwstoki, zakrzaczenia, oławowiska grają swoim odrębnym życiem. To już nie amfiteatr martwy — to twarz potwora. (...) Potwór straszliwy, przynarowany w zieloności wzgórz, spowinięty w

wiosnę, maki, słowiki zwałił ludzi prostych i wierzących i żuchwy poszły w ruch. Przepotał się, bluzgotało, krwa-
wiło mięso ludzkie, działały potworne
żuchwy zasilane wciąż nowym żerem,
obleśną gębą oblepioną strzępami wywa-
lonych jelit, rozprysniętych mózgów, o-
kruchami miazdzoonych kości”.

Ten patos, spotworniały w swym zna-
czeniu nie mówi nic. Wyzwała tylko o-
braż nicości człowieka, jego odwaga, czy
bojaźń nie ma znaczenia. Jego życie na-
leży do Polski, bo jak głosi napis na
cmentarzu „Przechodniu powiedz Polsce,
żeśmy poległ wierni w jej służbie”.

Właśnie tego nie cierpię u Wańkowi-
cza, tego dla pokrzepienia serc patosu w
autorskich komentarzach. Tkanka repor-
tażu tam, gdzie czerpie z samych faktów,
opisuje zachowanie ludzi, ich reakcje,
postępowanie jest zupełnie inna, po pro-
stu wiarygodna, komentarz Wańkowicza
— niestety, nie.

Wańkowicz jest, jakby nie oceniać i
nicować jego twórczości mitotwórcą. I to
mitotwórcą z wyrachowania, z zamysłu.
Takim samym, jakim był i Sienkiewicz.
Któż dzisiaj potrafi odrzucić wyobraźnię
autora „Ogniem i Mieczem” i wznieść się
do realnej oceny faktów stosunków pol-
sko-ukraińskich w XVII wieku? Supe-
rystywność stylu i pisarstwa jest wielką
siłą propagandową. Również i o Monte
Cassino, Westernplatte i o majorze Hu-
balu myśleć będziemy myśleniem Wań-
kowicza i choć wiemy, że jego obraz nie
jest całkowicie wiarygodny, pisany ge-
nialnie, acz na jednej tylko stronie —
nie potrafimy się wyzwolić. Taka jest
siła wielkich pisarzy.

Melchior Wańkowicz urodził się w
1892 roku w Kałużycach. Maturę otrzy-
mał w Warszawie w szkole Chrzanow-
skiego. Ukończył Szkołę Nauk Politycz-
nych na Wszechnicy Jagiellońskiej w 1914
roku. Następnie magisterium z prawa na
Uniwersytecie Warszawskim w 1923. Po
zabójstwie prezydenta Narutowicza pra-
cował na stanowisku naczelnika Wydzia-
łu Prasy i Widowisk, które porzucił po
zamachu majowym w 1926 roku. Założył
przed wojną Towarzystwo Wydawnicze
„Róś”. Na emigracji był korespondentem
wojennym. Mieszkał w USA. Wrócił do
Polski w 1958 roku. Zmarł we wrześniu
1974 roku.

Melchior Wańkowicz — postać owiana
legenda i sama legende twórcza Panor-
ter, który odbiega od protokolarnej
ściśłości faktów. Zdaniem autora „Two-
rzywa” plastyczniej może on przekazać
tyrnowość losów człowieka, jeżeli pod
jednym fikcyjnym nazwiskiem polaczy
obraz autentycznej młodości jednego ja-
kiegoś osobnika, autentycznej dorosłości

drugiego, bądź śmierci — trzeciego. Taki
kolaż pozwala mu dokładniej i barwniej
zaprezentować Polaka naszej epoki, niż
by miał spisać trzy odrębne i autentycz-
ne życiorysy.

Wańkowicz, jak wiadomo, był kore-
spondentem wojennym, uczestniczył ra-
zem z oddziałami polskimi w walkach
II wojny światowej na Zachodzie. Stał
się bardem tamtej legendy, legendy bo-
haterstwa, poświęcenia, według mnie
dość powierzchownego patriotyzmu, i
niech mnie potępią obrońcy i wielbiciele
wielkiego Żubra, dość naiwnego patri-
otyzmu. Ciekaw jestem, bo dla metody,
którą Wańkowicz zastosował w reportażu
„Monte Cassino” jest to ważne, czy spot-
kał się osobiście z człowiekiem, który
zastosował w swoich książkach podobne
metody kronikarskiego zbierania faktów.
Idzie mi o wielkiego, acz bardzo kon-
trowersyjnego reportera włoskiego Curzio
Malapartego. Malaparte też był korespon-
dentem wojennym, najpierw w służbie
Mussoliniego, później aliantów, był świad-
kiem inwazji na Sycylię, towarzyszył
wojskom na marszu we Włoszech. Plonem
tych obserwacji była głośna „Skóra”,
przypominająca metody gromadzenia ma-
teriału, jakie stosował przy „Monte Cas-
sino” Wańkowicz. Czy Autor „Karafki
La Fontaine’a” cenil twórczość Malapar-
tego? Niewiele jest na to dowodów w
jego wypowiedziach. Z pewnością czytał
i „Kaputt” i „Skóre”, ale z pewnością
odrzucał go od Malapartego jego ambi-
walentyzm polityczny, bo Włoch, jak wia-
domo, w sensie politycznym dokonywał
wyborów przeróżnych — od fascynacji
faszyzmem, do związania się z komuni-
stami. Tuż przed śmiercią Malaparte po-
jechał do Chin Ludowych i był zafascy-
nowany tym, co tam się dzieje. Zresztą
w testamencie zapisał towarzyszącej chiń-
skiej swojej luksusowej willi na Capri.

Wańkowicz w swoich poglądach był li-
beralnym konserwatystą. Związany w
różnym stopniu z orientacją państwa na
obraz i podobieństwo zachodnich demo-
kracji. Przed wojną — jak sam pisał —
poświęcił II Rzeczypospolitej grubą książkę
„Sztafetę”. Cieszył go zdumiewa-
jący proces zrastania trzech zaborów w
jeden kompleks gospodarczy i ekono-
miczny. Ale chciał mówić o człowieku, o
ustroju politycznym dla tego człowieka,
o udziale tego człowieka w sprawach pu-
blicznych i o celach nadrzędnych ko-
niecnych, by Polacy nie byli przysłowio-
wa wiaźka rozrzuconych pretłów, jeno
wieźią dobrze zebraną i związaną.

Wrócił ze Stanów Zjednoczonych do
Polski, bo uznał, że tu jego miejsce. Pisał
w swoim szkicu „Z jakiej jesteśmy oli-
ny”, że „Dwie kolejne wojny były dwoma
kowadłami, na których wykutały się

kolejne kształty Polski. Pierwsza wojna dała zespolenie świadomości narodowej, druga otworzyła drogę dla formowania się świadomości klasowej. (...) Wróciwszy do Polski miałem na początku i na końcu dwunastoletniego pobytu dwie lekcje poglądowe. Na odstąpieniu w pewnym powiecie pomnika ludowego poety byłem świadkiem, wypisz, wymaluj bankietu z epoki saskiej. Wszystko było za darmo, jak dawniej ze szkatuły uprzywilejowanego magnata (teraz z jakiś sum „wygospodarowanych” — na chłanie). Co chwila wstawaliśmy, rycząc komuś sto lat, korytarze były zapługawione. Sprawdziły się słowa Świętochowskiego o chłopie, który „gdy się podniesie wyżej, stara się upodobić do pana”.

W dziesięć lat później byłem zaproszony na próbny rejs statku. Obaj z kapitanem asystowaliśmy biernie przy dyskusji sprawozdawczo-odbiorczej przedstawicieli stoczni i armatora. Dyskusja wydała mi się rzeczowa. Zapytałem kapitana o każdego z ekspertów. Znaczna ich część była z awansu społecznego. Było to dla mnie silne przeżycie. To przeżywanie stawania się jednego narodu jest udziałem powojennego pokolenia...” Dlatego bardzo wierzę publicyście Wańkowiczowi, niż autorowi patriotycznych reportaży.

Wiarygodność to też wielkie słowa przy odbiorze twórczości nawet tak wielkiego pisarza, jakim był Melchior Wańkowicz.

BOGDAN TOMSKI

NASZA WITRYNA

Szelągi Jana Kazimierza

Od wielu lat kolekcjonerzy polskich monet odczuwają brak literatury numizmatycznej. Dlatego też wszyscy numizmaty, którzy zbierają monety z okresu Polski królewskiej przyjmą z zadowoleniem „Katalog szelągów miedzianych Jana Kazimierza” — przygotowany przez Wojciecha Niemirycza, wydany nakładem Polskiego Towarzystwa Archeologicznego i Numizmatycznego w Warszawie.

Jest to drugie wydanie katalogu (pierwsze ukazało się w 1981 r.), w którym są przedstawione monety z tak trudnego okresu dla Rzeczypospolitej — kraj nękany był wojnami kozackimi, przez Polskę przeszła nawała szwedzka nazywana „potopem”, skarb świecił pustkami.

Pierwsze szelągi miedziane wybite zostały przez mennicę bydgoską w roku 1650. Jest to data bardzo ważna nie tylko dla numizmatyków, ale także dla tych wszystkich, którzy interesują się historią gospodarki pieniężnej i ekonomią. Bowiem w roku 1650 po raz pierwszy w Polsce znalazły się jednocześnie w obiegu monety złote, srebrne i miedziane.

W ciężkiej sytuacji ekonomicznej, w której znalazła się Rzeczpospolita po wojnie szwedzko-polskiej, kiedy to kraj doszczętnie został zrujnowany, a trzeba było płacić wojsku zaległy żołd, podjęto decyzję wybitcia dużej ilości monet miedzianych.

W lipcu 1659 roku podskarbi wielki ko-

ronny zawarł z dworzaninem królewskim. Włochem z pochodzenia, Tytusem Liwiuszem Boratinim kontrakt na wybite miedzianych szelągów koronnych na sumę 1 miliona złotych. Boratini dał się poznać jako doskonały organizator i w krótkim czasie wybił 180 mln miedzianych monet.

Drugim przedsiębiorcą wybijającym monety miedziane dla Wielkiego Księstwa Litewskiego był Jerzy Fryderyk Horn, który zorganizował trzy mennice — w Oliwie koło Gdańska, Malborku i Kownie. Słabe jednak tempo produkcji szelągów w mennicach J. Horna spowodowało cofnięcie mu pozwolenia na bicie monety. Całą produkcję szelągów dla Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego powierzono T. Boratinemu. Szacuje się, iż w mennicach J. Horna i T. Boratiniego wybito około 1,6 miliarda miedzianych szelągów, które od nazwiska Boratini potocznie nazywane są też boratynkami.

W tamtych czasach nie brakowało także ludzi zajmujących się biciem fałszywej monety, do tego procederu zachęcały nie-spokojne czasy i fakt, iż wwrób małych cienkich monet był łatwy. Warsztat fałszerza nie musiał posiadać skomplikowanych urządzeń i ciężkich młotów, niezbędnych przy produkcji większych monet. Należy sądzić, iż wykorzystywali oni do produkcji swych „klepaczy” blachę miedzianą z dachów kościołów i zamków zniszczo-

nych przez Szwedów. Ocenia się, że w mennicach fałszerzy wyprodukowano około 400 tys. szelągów. Za fałszerstwo stosowano surowe kary, np. fałszerza szelągów z Przemysła skazano na ścięcie, przedtem jednak ucięto mu rękę i przybito gwoździem do bramy miejskiej, zaś dwóch pomocników napiętnowano fałszywym stemplem, wybijając monety na prawym policzku i wymierzając im 200 róż. Natomiast dostawcę materiału poddano chłoscie.

Katalog Wojciecha Niemirycza przedstawia wszystkie znane odmiany miedzianych szelągów koronnych i litewskich Jana Kazimierza. Autor dotarł nawet do zbiorów leningradzkiego Ermitażu, gdzie między innymi znajdują się również boratynki Korony i Wielkiego Księstwa Li-

tewskiego. Na zamieszczonych w katalogu ilustracjach przedstawione są szelagi ze wszystkich mennic, jak również wycena w złotych. Ułatwi to wymianę kolekcjonerską lub też nabycie nowych szelągów do zbioru. Niejednokrotnie bowiem, zbieracze numizmatycy „nabijani są w butelkę” przez handlarzy na różnego rodzaju giełdach staroci z powodu nieznamomości cen. Na końcu katalogu umieszczona została bibliografia, pozwalająca na porzecznie wiadomości o boratynkach, których, jak się szacunkowo ocenia, łącznie z fałszywymi wybito około 2 miliardów sztuk. Dlatego są one najczęściej spotykanymi monetami okresu Polski królewskiej w zbiorach numizmatycznych.

WIKTOR ZYBAJŁO

CO MIESIĄC NOWELKA KRYMINALNA

Łańcuszek za trzysta dwadzieścia tysięcy

— W zasadzie łańcuch, choć znów nie taki gruby i długi. Ręcznej, niezbyt ładnej roboty. Jego wartość wyznaczał materiał.

— Rodzinna pamiątka, czy gdzieś nabyty? — spytałem przyjaciela.

— Kupiony w okolicznościach, o których Trajkinowie woleli nie wspominać.

— Lokata drobnych oszczędności kierowniczkę sklepu spożywczego oraz szofera z taty pracującego w budownictwie?

— Trafiliś w sedno — odrzekł przyjaciel. — Biedni ludzie mają zaufanie tylko do złota.

— Kto ukradł, by skrzywdzić tych biednych, pracowitych ludzi?

— Nie mogę zaczynać historyjek kryminalnych od końca — skarcił mnie przy-

jacieli. — Pani Albertyna stwierdziła brak łańcucha w momencie, gdy jej mąż spytał, co z nim zrobiła. Przytomne pytanie bardzo już pijanego człowieka. Niby zasypia, bełkoce, ale bacznie obserwuje swoją własność, choćby nawet własność ta wisiała na szyi żony.

— Piiany? Dlaczego?

— Gdubyś nie przerywał, już buś się dowiedział, że trwał właśnie imieniny pani domu. To taki zimny dzień w końcu listopada, że bardzo trzeba się rozgrzewać. Uroczystość zromadziła razem dziewięć osób. Suna Trajkinów z żoną o takiej słupskiej urodzie: pulchna blondynka z gładką, pustą twarzą. Dwie ekspedientki ze sklepu pani Albertyny. Jedna stara i kłótliva oraz przebiegła, druga tłuste cielo z głuchymi oczyma. Privatnie, staru lekarz Trajkinów z młodzieńką kochanką i dyspozitor z bazy Błażeja Trajkina. Konstantyn Smarkowicz.

— A tu jakim cudem się tam znalazłeś?

— Stawa moja — odrzekł przyjaciel — nowoli jak kreć na wodzie rozchadzi się po miasteczku oraz okolicznych wioskach. Dehu dębom, bukom buki, a znajomi znajomym opowiadają... W każdym razie obudził mnie przed rianą nad ranem, wnakował do taksówki i zaniósł na Gierumskich, na Błażej. Chuchał na mnie woda ganiasta i tłumaczył, że musi szukać pomocy nieoficjalnej, bo przecież złodziejami są przyjaciele a i na co o tej rzeczy, co zainala, wszystkim opowiadają. Morda, słuchaj, pinnomu, odebrał łańcuch, ze schodów, gruszcio dzianko, to jest sprawiedliwość. Nagrodę ustalił, trzydzieści

tysięcy tylko za to, by kto jest fałszywy się dowiedzieć.

— Więc możesz pożyczyć mi dziesiątkę?

— Mogę — odpowiedział przyjaciel. — Ale nagrody ani bym wziął, ani mi ją dawano. Wiesz, co było zabawne? Kiedyśmy się dotargali na czwarte piętro, gdzie Trajkinowie mieszkają, pan Błażej długim śrubokrętem musiał odkręcać trzy duże wkrety, jakim przysrubował drzwi z zewnątrz, aby z imieninowych gości nikt na siłę nie uciekł. W dużym pokoju natomiast siedziała jego żona z dużym, męskim nieskładanym parasolem w ręku. Miała za zadanie pilnować biesiadników, póki nie przyjedziemy, by nie czynili żadnych podejrzanых ruchów i nie ukryli łupu. Ubytek stwierdzono, kiedy już w zasadzie było po uroczystości, gdyż wszyscu dobrze się zalali i poumieszczali no ustronnych miejscach. Dlatego młoda ekspedientka z przeniekniętymi oczyma cielecia, nazwiskiem Alina Spenderin, siedziała teraz w głównym pokoju z prawie nieosłoniętymi piersiami, co było zastęgą Konstantyna Smarkowicza, zanim obojga nie przepedzono z kuchni do pomieszczenia arestantańskiego dla wszystkich. A mówią, że stół kuchenny to nie jest miejsce do miłości. W samej hielinie był też lekarz i jego pielęgniarka, przywołani stanowczo z supielni Trajkinów, która udostępniono im z wdzięczności za leczenie grypy i katarów. Synowa Trajkinów również była aresztowana i tylko jej biednie nikt nie rozbierał tej nocy. Jej mąż snął spokojnie z żoną na stole i nic nie wiedział o tragedii rodziców.

— A ten łańcuch złoty, skarb i zabezpieczenie Trajkinów na starość, nadal znajdował się w mieszkaniu? — spytałem z niecierpliwością.

— Niestety, tak — odpowiedział przyjaciel. — Choć dla większej dramaturgii wolalbym, aby złodziej podał go na przykład na sznurku tresowanemu psu, albo nocnemu pocztowemu gołębiewi i od ptaka otrzymała go sierotka Marysia, z którą bum się ożenił, gdyż nie ma mi kto gotować makaronu.

— I jak go znalazłeś? Jak wykryłeś złodzieja?

— Poczekaj — burknął przyjaciel. — Gdzie ci się śpieszy i po co? Otóż obserwując Błażeja Trajkina i rozmawiając z nim, dowiedziałem się dwóch rzeczy. Po pierwsze, że to cholerek, czuli jak dawniej mówiono w gorącej wodzie kąpany awanturnik, wubuchowu człowiek, którego emocje trwają długo i są niebezpieczne. W ten sposób rozmawiał ze wszystkimi i podobnie traktował gości oraz rodzinę.

— I co z tego?

— Ano tyle — powiedział przyjaciel — że bali się go nawet najbliżsi i nie byłiby w stanie mu niczego wytłumaczyć, wy-

jaśnić czy przebłagać. Ta wiedza o nim mogła mieć znaczenie, ale i przeciwnie.

— A druga informacja?

— Dotyczyła samego łańcucha. Jego budowy, wagi, zamknięcia, wytrzymałości na rozzerwanie. Błażej Trajkin, kierowca, zna się na metalach. Już w taksówce dał mi przesłankę do rozwiązania sprawy.

— Niech cię diabli — wykrzyknąłem z podziwem.

— E tam. Gdybyś wiedział, co i ja. Wiegdybyś wiedział, że solenizantka tej nocy ani na moment nie przysnęła, gdyż musiała podawać biesiadnikom płynny oraz zagrychę. A także, że zameczek łańcucha jest chytry, skomplikowany.

— Musiałby być zerwany siłą!

— No widzisz, nadajesz się na detektuwa. Wprawdzie pani Albertyna próbowała kręcić trwierdząc, że po północy zdjęła łańcuszek, gdyż boleśnie otarł jej suuje, i położyła na półeczce z kosmetykami w łazience, ale na pomysł ten wpadła, adu nie było już innego wyjścia. A na skórze jej szyi żadnych śladów.

— Sama ukradła?

— Nie. Jest to historia matczynej miłości. Jak ona nieknie patrzyła na śpiącego suna i jak bardzo nie pozwoliła go obudzić.

— Synek potrzebował na samochodzik, a tatuś był przeciwny?

— Nie. Ten trzydziestolatek jest wicedyrektorem i posiada już fiacika. Natomiast zrobił dzieciaka swojej sekretarce, a mieszka w willi teściów, ludzi moralnych w sprawach płciowych, i nie chciałby tego lokalu utracić. No i swojej drogiej żony. Z sekretarka, osoba niewumagająca, dogadano się. Za pół miliona rezygnowała z oica dla swojego dziecka. Wicedyrektor posiadał zaledwie połowę tej kwoty. Jemu mamusia ofiarowała wien naszujeńnik, ale tatuś nie mógł się o tym dowiedzieć. To twardy człowiek. Owszem, ukradnie wóz niasku, cementu czy stali zbrojeniowej, ale, dobrze umchowani i zarozumiani z elementarna etyka, nie okradnie, podobnie jak teściowa syna, grzechów erotycznych.

— I jak to wszystko się skończyło? Obrażeni goście trzasnęli drzwiami, ojciec wykład syna, żona się z nim rozwodzi.

— Nie, mój drogi. Brakująca, a nagle potrzebna kwota pożyczki synowi swej kierowniczką ta stara ekspedientka. Żona wicedyrektora zastrzegła sobie prawo do miszczenia się również raz albo i dwa. Błażej Trajkin potłukł fajansową zastawę i na oczach wszystkich wlał żonie, młoda ekspedientka nobiegała nowicję na sklenie kartke, że sklen jest choru i rankiem podjęto tak przykro przerwane imieninowe zajęcia.

ANATOL ULMAN

■ Słupski Oddział Polskiego Związku Esperantystów rozpoczął nowy rok pracy. Zajęcia zainaugurowała Jadwiga Woźniakiewicz ze Szczecina. W języku esperanckim opowiadała o swoich podróżach po Danii i Norwegii oraz o kontaktach z tamtejszymi kołami lingwistycznymi. Wspomnienia ilustrowane były przeżyciami. Jednocześnie przypominamy, iż siedziba słupskich esperantystów mieści się w Domu Kultury Kolejarza.

■ Wspomnieniom o Powstaniu Warszawskim poświęcony był program słowno-muzyczny: „Czy to serce pęka”. W klubie MPiK zaprezentowali go: Zdzisław Skwara — uczestnik walk w Warszawie, Aleksandra Dmochowska — aktorka Teatru Polskiego oraz Jacek Weiss — akompaniator.

■ Portugalski Teatr Nieprofesjonalny „Combate” z Cartaxo pod Lizboną gościł przez prawie dwa tygodnie na Ziemi Słupskiej. Wspólnie z aktorami teatru „Rondo” oraz koszalińskiego „Blika” w Uście zorganizowano warsztaty teatralne. Portugalscy goście zaprezentowali spektakt „Latas e bonecas”. Ustalono plany dalszej współpracy. Należy oczekiwać, że w najbliższym czasie słupscy „rondowcy” wyruszą na kolejne tournée.

■ Od 6 września do 7 października w Uście odbywał się Ogólnopolski Plener Malarski pod nazwą „M — jak morze”. Uczestniczyli w nim twórcy z całej Polski. Wykonano wiele ciekawych prac. Najciekawsze zostaną zaprezentowane na wystawie poplenerowej. Komisarzem artystycznym imprezy był artysta plastyk — Witold Lubiniecki, a nad jej prawidłowym przebiegiem czuwały instytucje kulturalne woj. słupskiego.

■ Jesień to okres tradycyjnych dożynek. Przygotowano je we wszystkich gminach naszego województwa. Spotkania z okazji święta plonów były okazją do zaprezentowania dorobku miejscowych zespołów artystycznych. Przygotowano wystawy plodów rolnych oraz przepiekanych dożynekowych wieńców. Na festynach ludowych bawiono się hucznie i do białego rana. Udana impreza przygotowana w Dębicy Kaszubskiej, Potęgowie, Postominie i Czarnem.

■ W STD gościnnie wystąpił Teatr Wybrzeże z Gdańska. Zaprezentowano spektakl „Hiob” wg „Księgi Hioba” w przekładzie Czesława Miłosza w reżyserii Krzysztofa Babickiego, z muzyką Stanisława Radwana i scenografią Anny Sekuły. Wystąpili: Halina Winiarska, Stanisław Dąbrowski, Irena Jasman i Jerzy Łapiński.

■ Ach co to był za mecz; 30 września na boisku Technikum Rolniczego odbył się mecz piłki nożnej między drużyną aktorów STD i muzyków SOK. Szala zwycięstwa przechyliła się w stronę muzyków. Gratulujemy.

■ W bytowskim zamku zainaugurowano cykl muzycznych wieczorów kameralnych. Na koncercie w dniu 1 października wystąpił Jerzy Ostapiuk — solista Teatru Wielkiego w Warszawie i pianista — Jerzy Soczewiński. Zaprezentowano utwory Mozarta, Verdiego, Rossiniego i Czajkowskiego. Muzykę Chopina bytowscy melomani usłyszeli w wykonaniu solistów z Akademii Muzycznej z Gdańska.

■ „Bajka całkiem nowa” to tytuł nowego spektaklu przygotowanego przez zespół PTL „Tęcza”. Zofia Miklińska — reżyser przedstawienia przypomina w nim najpopularniejsze wiersze J. Tuwima i J. Brzechwy oraz piosenki z filmu „Akademia Pana Kleksa”. Motywu wiążącym całość spektaklu jest opowieść o lokomotywie.

■ W Sławieńskim Domu Kultury odbyła się wojewódzka inauguracja nowego roku działalności kulturalnej i sezonu artystycznego 1984/85. Przedstawiono plany pracy na najbliższe miesiące. Najbardziej zasłużonym pracownikom wręczono listy gratulacyjne ministra kultury, nagrody ministra kultury, nagrody dyr. WKiSz UW oraz odznaki „Zasłużonego Działacza Kultury”.

■ Maciej Borchert ze Słupska został laureatem „II Spotkań z Balladą — Szydłowiec 84”. Otrzymał nagrodę Naczelnika Gminy, nagrodę publiczności. Uczestnicy spotkań soliste ze Słupska określili mianem wspaniałego interpretatora poezji E. Stachury.

REPERTUARY

ŚLĄPSKI TEATR DRAMATYCZNY

Ślupsk, ul. Wałowa 3, tel.: 49-60, 38-39.

- „Drugi pokój” i „Rekonstrukcja poety” Z. Herberta, reżyseria — J. Pieńkiewicz, scenografia B. Jankowska;
- „Ljubica — pierwsza osoba liczby mnogiej” wg M. Vičetića, monodram w wykonaniu i reżyserii Magdy Szkopówny-Bartoszek;
- „Pierwszy dzień wolności” L. Kruczkowskiego, reżyseria — M. Okopiński, scenografia A. Tośta (premiera);
- „O dwóch takich co ukradli księżyc” Kornela Makuszyńskiego, adaptacja i reżyseria — B. Czosnowska.

PAŃSTWOWY TEATR LALKI „TĘCZA”

Ślupsk, ul. Waryńskiego 2, tel. 39-35, 87-94

- „Bajka całkiem nowa” — wg J. Tuwima i J. Brzechwy, reżyseria — Z. Miklińska, scenografia — K. Grzesiak, opracowanie muzyczne — M. Radzikowski;
- „Damroka i Gryf” N. Gołębskiej, reżyseria — Z. Miklińska, scenografia — A. Bunsch, muzyka — J. Patryka.

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH

Ślupsk, ul. P. Findera 3, tel.: 40-41

Baszta Czarownic, ul. Francesco Nullo

- Henryk Plóciennik — grafiki
- Wystawa poplenerowa „Stare Grono wo 84”.

MUZEUM POMORZA ŚRODKOWEGO

Ślupsk, ul. Dominikańska 5, tel.: 40-81

- Sztuka dawna Pomorza w XIV—XVIII wieku
- „Portrety” S. I. Witkiewicza
- Wyroby konwisarskie — ze zbiorów własnych
- Grupa „M — 59” z Kopenhagi — wystawa malarstwa

Młyn Zamkowy

- Kultura i sztuka ludowa Pomorza
- Skarby książąt pomorskich

KLUB MIĘDZYNARODOWEJ PRASY i KSIĄŻKI

Ślupsk, Plac Armii Czerwonej tel.: 66-07

- Akwarele Krystyny Mrozek z Gdańska

WOJEWÓDZKI DŌM KULTURY

Ślupsk, ul. Pawła Findera 3, tel.: 40-31

- Wojewódzka Scena Amatora — prezentacja amatorskiego ruchu fotograficznego.
- 25 listopada — Popołudnie z rozrywką — impreza Klubu Szaradzystów.

PEDRO

bum filatelisty.
ren wykarczowany; 14) al-
tarczy księżyce; 13) te-
Ślupsku; 12) grecka bogini
... Pomorza Zachodniego w
„byki” na łamach; 11)
starożytnego; 9) poluje na
rakterystyczna dla okresu
truma z kamienia cha-
Potudniowej; 8) ozdoba
stem górski w Ameryce
rupiały widłonosie; 5) sy-
cyli; 4) planetonowe sko-
grecki z Syrakuz na Sy-
dza nim opat; 3) poeta
IONOMO: — 2) zarzą-

dyscyplina, mores.
18) pozytywna ocena; 19)
dolna powierzchnia stropu;
Delibes; 16) podeszwa; 17)
Croy; 15) tytuł opery Leo
wienik księżny Any
pastor ze Smolizna, po-
10) papuga popielata; 11)
teriał do krycia dachów;
władzy; 7) ogniotrwałe ma-
cja; 6) forma wykonywania
I. POZOMO: — 1) inspek-

DUET KRZYŻÓWKOWY



■ Słupski Oddział Polskiego Esperantystów rozpoczął nowy cy. Zajęcia zainaugurowała Jadwiga Złazkiewicz ze Szczecina. W język rancim opowiadała o swoich podróżach po Danii i Norwegii oraz o kontaktach z tamtejszymi kołami lingwistycznymi. Wspomnienia ilustrowane były zdjęciami. Jednocześnie przypomnieliśmy siedzibę słupskich esperantystów, która znajduje się w Domu Kultury Kolejarskiego.

■ Wspomnieniom o Powstaniu Warszawskim poświęcony był program muzyczny: „Czy to serce pęknęło” w klubie MPiK zaprezentowali go: Skwara — uczestnik walk w Warszawie, Aleksandra Dmochowska — Teatru Polskiego oraz Jacek — akompaniator.

■ Portugalski Teatr Nieprofesjonalny „Combate” z Cartaxo pod Lizboną przez prawie dwa tygodnie na Złazskiej. Wspólnie z aktorami teatru „do” oraz Koszalińskiego „Blika” zorganizowano warsztaty teatralne. Portugalscy goście zaprezentowali „Latas e bonecas”. Ustalono plany współpracy. Należy oczekiwać, że w bliższym czasie słupscy „rondowicy” ruszą na kolejne tournée.

■ Od 6 września do 7 października w Uście odbywał się Ogólnopolski Malarz pod nazwą „M — jak Malarz”. Uczestniczyli w nim twórcy z całego kraju. Wykonano wiele ciekawych dzieł. Najciekawsze zostaną zaprezentowane na wystawie poplenerowej. Komisaryjnym i artystycznym improwizacji był artysta — Witold Lubiniecki, a nad jej przebiegiem czuwały instytucje kulturalne woj. słupskiego.

■ Jesień to okres tradycyjnych imprez. Przygotowano je we wszystkich gminach naszego województwa. Na Złazskiej z okazji święta płonów były do zaprezentowania dorobek miejscowych zespołów artystycznych. Przygotowano wystawy plodów rolnych oraz plonów dożynkowych wieńców. Na Złazskiej ludowych bawiono się hucznym białym rana. Udały imprezy przygotowane w Dębicy Kaszubskiej, Potulic, Postominie i Czarnem.

WOJEWODZKA i MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA

Słupsk, ul. Grodzka 3, tel. 72-01

- wystawa najnowszych książek społeczno-politycznych (20—30 listopada),
- rozstrzygnięcie otwartego konkursu oetyckiego „O Laur Gryfa Słupskiego” (w II poł. listopada).

Filia WiMBP, ul. Braci Gieryskich

- wystawa plakatu Ligi Ochrony Przyrody (do 10 listopada),
- wystawa akwarel Aldony Żak pt. „Pejzaż Polski północnej”.

ROZWIĄZANIE DUETU KRZYŻÓWKOWEGO Z NRU 10:

I. Poziomo: — pośpiech, skapstwo, świekra, wzór, parytet, rumba, lumbago, khaki, toaleta, rekin. **Pionowo:** — odkuwka, papiery, Euterpe, Hiob, Szymbark, ortalion, paleta, rumian, trapez, trokar.

II. Poziomo: — kontrast, ustronie, komieja, laur, kanasta, pozew, odmiana, teatr, epolety, trasa. **Pionowo:** — odsłona, turbina, abnegat, tren, maskara, grawerka, Kromer, namiot, spadek, apaty.

DUET KRZYŻÓWKOWY

I. POZIOMO: — 1) inspekcja; 6) forma wykonywania władzy; 7) ogniotrwałość; 10) papuga popielata; 11) pastor ze Smolczyna, podziękuję; 15) tytuł opery Leo Delibes; 16) podszwa; 17) dolna powierzchnia stopu; 18) pozytywna ocena; 19) dyscyplina, mores.

PIONOWO: — 2) zarządza nim opat; 3) poeta grecki z Syrakuz na Sytyli; 4) planktonowe skorupiaki widonogie; 5) system górski w Ameryce Południowej; 8) ozdoba trumna z kamienia chakterystyczna dla okresu starożytności; 9) poluje na „byki” na łamach; 11) „Pomorzak Zachodniego w Słupsku; 12) grecka bogini łaczą księżycowej; 13) teren wykarbowany; 14) album filatelisty.

PEDRO

DUET KRZYŻÓWKOWY

II. POZIOMO: — 1) przedmiot wystawiony na pokaz; 6) stan w USA; 7) najjaśniejsza gwiazda nieba w konstelacji Psa Wielkiego; 10) willa Karola Szymanowskiego w Zakopanem; 11) mieszaniec zwierzęcy; 15) miejscowość wczasowa nad Bałtykiem; 16) do zwiedzania w Klukach; 17) przełanie praw na drugą osobę; 18) dawna nazwa Krymu; 19) jezioro w Afryce.

PIONOWO: — 2) zasłona sceniczna; 3) przywłaszczenie cudzego utworu; 4) niezbędny w podróży; 5) rodzaj egzaminu; 8) aktor nie aktor; 9) krzew używany na żywopłoty; 11) element dawnych fortyfikacji stałych; 12) zbiór przepisów regulujących działalność spółdzielni; 13) rosyjska miara długości; 14) Isadora — wybitna tancerka amerykańska (1878—1927).

PEDRO

